

Dziś w numerze: **Jaką ongiś byłam...** • **Ambasady polskiej kultury w Czechosłowacji** • **Noc po ciężkim dniu** • **Jutro rano też będzie dzień** • **Czy zmierzchn papierowego królestwa** • **Recenzje** • **Felietony** • **Polonica**

odgłosy



Nr 12 (374)
27. III. 1966 r.
10 stron
Cena 1 zł.

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK IX



JAN BĄBIŃSKI

Wyna larczy SA WSRÓD nas

Ten człowiek nazywał się Braun. Chodził po korytarzach jednego z tych dziwnych budynków, które udawały po wojnie biura i urzędy. Czego one nie udawały? Dziwny człowiek chodził więc po dziwnych korytarzach i miał właściwie prawo, żeby się zrazić, machnąć ręką i powiedzieć do kolegi: — Nie wracajmy sobie lepiej tym głowy... — Być może, kolega nie dosłyszał albo, co jeszcze bardziej prawdopodobne, takie słowa w ogóle nie padły, bo kolega też wcale się nie zraził. A Braun jeszcze wtedy nie wiedział, co to splendor.

Był taki okres w dziejach powojennej Łodzi, kiedy biura uznano za najważniejsze.

Otwierano je w czyszczokach, barakach, pofabrycznych halach. Gdzie nie otwierano. Do pokoju, gdzie ze ścian sterczał kram, wnoszono pospiesznie segregatory, zawieszano portrety, piastowskie orły, rzucano na podłogę jakiś dywan, jakiś telefon na biurko, zapalniczkę na stolik. Jutro wielki dzień. Jutro zaczyna pracę jeszcze jeden ważny urząd. Był taki okres w powojennej Łodzi, kiedy więcej nam przybywało biur niż mieszkań. Nawet wysłużone fabryczki zamieniano na zarządy i dyrekcje.

Taki właśnie los podzieliła wytwórnia guzików na rogu Andrzeja i Gdańskiej.

To po tym gmachu błąkał się wynalazca. Nie było to jednak takie biuro, w którym powielano formularze, ale placówka, gdzie myślano na serio. Centralne Biuro Techniczne Przemysłu Maszyn Włókienniczych. Oj Lachy, Lachy, kiedyś pojmiecie, że wiek nie ten, że to czasy w których ponad wszystko ceni się skrót i zwięzłość. Centralne Biuro tym różniło się od innych, że na dźwięk słowa — wynalazca — przez niego twarz nie przelatowała cień. Choć na początku też różnie bywało.

W dużej sali pracuje przy rajbretach kilkudziesięciu mężczyzn — w jasnych fartuchach i śnieżnobiałych kołnierzykach. Wśród nich Jan Pacholski. Na zatwierdzenie swego patentu czeka już rok z hakiem. Ale, jako się rzekło, wcale się tym nie zraża. Ostatecznie Braun też nie od razu wypłynął. A potem? Hm, to cała epopeja. Nie tak jeszcze dawno lot rodzimej myśli technicznej był tak niski, że zahaczał prawie o płaczące wierzby przydrożne. Po cóż się wysilać? Myślenie załatwi za wszystkich taki niesłychanie mądry i utalentowany starszy brat. Szkoda czasu i atlasu — powiadano — szkoda nawet mydła.

Naprawdę szkoda było mydła. Relacja, którą usłyszałem zabrzmiała wiśliczym niemal humorem. Do sali, w której kreślił inżynierowie w fartuchach, wszedł sam minister. Patrzy, patrzy... najbliższy siedzący konstruktor miał na sobie fartuch, który może kiedyś był biały, ale teraz przypominał raczej brudnoszary chałat, jakie spotyka się czasem na murzyńsko-arabskim Bliskim Wschodzie. No więc minister przystanął i brew zmarszczył:

— Cóż to ma znaczyć? To u was mydła nie ma? Jak często tu piorą fartuchy?

— Żebym to wiedział — odparł konstruktor. — Pracuję tutaj dopiero pół roku...

Braun się jednak nie dał. Przeczekał, przebrnął i wygrał. Jakże więc, akumulator czy iskra? Dwie teorie, która słuszna? Obie. Tak jest, obie. Tyle, że akumulator trzeba ładować długo. Trzeba, aby myśl kreciła się i kreciła wciąż wokół tej samej osi. Wokół jednego problemu. Trzeba, aby wirowała przez dnie, mieszając, może nawet przez lata. Wirując, ładowała akumulator. Ten w mózgu. Gdy się obserwuje z jakim natężeniem myśli twórca, zdaje się czasem, że widać jak pulsują zwoje móz-

JAN KOPROWSKI

AKTOR — SOLA ZIEMI..

Międzynarodowy Dzień Teatru jest świętem aktora. Nie można czuć gmachów i urzędów. Nie miałyby one przecież żadnego znaczenia, gdyby nie gospodarował w nich i nimi człowiek. Człowiek wnosi życie do domu, aktor wnosi życie do teatru. Przed laty, podczas pewnej dyskusji jeden z mówców powiedział: „Aktor jest solą ziemi teatralnej”. Wydawało mi się wówczas, że słowa te brzmią tyleż pretensjonalnie, co i fałszywie. Dziś sądzę, że autor tych słów miał rację. Tak jest. Aktor jest solą teatralnej ziemi. Możemy mieć najpiękniejsze sale, najnowocześniejsze urządzenia, najlepszych reżyserów i scenografów — nie to, jeżeli nie będziemy mieć aktorów, którzy wejdą do tych sal i na odpowiednio zabudowanych i oświetlonych scenach wyczarują z napisanych sztuk życie, które w tych sztukach jest, i którego w nich nie ma. Albowiem aktor, dodajmy: dobry aktor, wzbogaca tekst, którym się posługuje, przydaje mu barwę i odcieni, ucieleśnia wizję pisarza, o których ten nie ma niekiedy żadnego wy-

obrażenia. Przypominam sobie rozmowę z Jerzym Andrzejewskim po premierze „Święta Winkelrida” w Teatrze Nowym. Uradowany współautor (drugim autorem był Jerzy Zagórski) powiedział wtedy: „Nigdy sobie nie wyobrażałem, że z tej naszej sztuki może coś takiego powstać na scenie”. Aktor wydobywa z utworu literackiego nie tylko tekst, wydobywa również podtekst, to, co kryje się za wypowiedzianym słowem, co nadaje słowu głębszy sens i znaczenie. Współtwórcą przedstawienia jest reżyser. Oczywiście, oczywiście. Ale prawda jest, że można zorganizować przedstawienie bez reżysera, natomiast żaden reżyser nie zorganizuje przedstawienia bez aktorów. A zatem aktor w teatrze jest najważniejszy, aktor jest solą ziemi. Pewien reżyser miał zwyczaj mawiać od czasu do czasu: „Ach, gdyby można było obejść się bez aktorów! Gdyby można było operować tylko laleczkami!”. Ale to było dawno. Dziś ten sam reżyser odmienne ma zdanie. Ceni sobie aktorów na wagę złota, wie, że bez nich byłby niczym, że jego talent, energia i umiejętności nie przydałyby się na nic, gdyby nie miał on do dyspozycji owych „komediantów”, posłusznych mu i wyczuwających jego artystyczne intencje i zamiary.

Jest więc aktor ważny, a jednocześnie tak mało po nim zostaje. Po pisarzu — zostają książki, po malarzu — obrazy, po muzyku — melodie mogące przetrwać stulecia. Aktor pozostaje w pamięci widzów. Na jak długo? Na czas jednego lub dwu pokoleń. Może dlatego aktorzy tak są wrażliwi na recenzje, na to, czy i o napisze o nich prasa. Bo prasa jest w stanie ocalić dzieło ich od zapomnienia. W rocznikach gazet i czasopiśmie odnajdujemy opisy gry aktorskiej, ślady ich wysiłku artystycznego, triumfy i porażki.

Kiedyś nie mogłem pojąć, dlaczego aktorom tak bardzo zależy na tym, by nie pomijano ich na łamach gazet. Dziś pojmuję. Zdenerwowanie, jakie okazują w chwilach, gdy recenzent ich nie zauważy, nie wymieni nazwiska, wydać się może śmieszne. W istocie kryje się w tym dramatyzm ludzi, świadomych przemijania swojej sztuki. Naturalnie, jesteśmy dziś w sytuacji lepszej, niż dawniej. Mamy taśmy filmowe, mamy płyty, możemy utrwać na nich postać i głos aktora. A jednak po dawnemu najtrwalszy wydaje się druk. To, co napisane, staje się dokumentem o nas i naszej pracy dla tych, co przyjdą po nas i zechcą odtworzyć sobie obraz życia i sztuki minionych epok. Aktor odwarza ludzi dawnych i dzisiejszych. Aktor jest królem i żebrakiem, aniołem i diabłem, człowiekiem wielkodusznym i nikczemnym. Wiecia się w nas i ukazuje nam nasze twarze. Twarze i wnętrza. Aktor jest solą teatralnej ziemi.

W Międzynarodowym Dniu Teatru warto chyba zastanowić się i nad tym, co prasa (codzienna i periodyczna) czyni dla utrwalenia sztuki aktorskiej. Co czynią recenzenci? Czy należą do nich? Recenzent spełnia rolę pośrednika, porozumiciela między aktorem i widzem. Rzuci pomost między tym, co dzieje się na scenie, a tym, co dzieje się na widowni. Recenzent wjaśnieniami, objaśnieniami, pomaga. Aktorowi najbardziej potrzebny jest życzliwy widz. A czymże winien być recenzent, jeśli nie życzliwym widzem? Widzem, który ma poczucie, że i bez niego nie mogłoby się spełnić to czarodziejstwo, jakim jest sztuka teatralna.

Aktorzy na scenie! My, widzowie, podziwiamy was i oklaskujemy. Podziwiamy również wtedy, gdy nie szczedzimy wam krytyki. A nawet wtedy najbardziej.

Dalszy ciąg na str. 3



Sojusznicy Francji (czternastka państw „atlantyckich”), obradowali długo, ale w końcu ogłosili wspólną deklarację, w której opowiadają się za obecną zintegrowaną strukturą militarną NATO. Mający wpływ na kulisy obrad twierdzą, że ustalanie tej deklaracji nie przyszło łatwo, ponieważ zarysowały się poważne różnice zdań między USA, W. Brytanią, NRF i Holandią z jednej strony, a grupą państw mniejszych z drugiej, jednak wspólny dokument „usmażono”. W piętnastce atlantyckich sojuszników wytworzyła się więc taka sytuacja: Francja i przeciw jej zamiarom czternastka pozostałych krajów NATO.

Komentowałem już te zamiary, ale wypada raz jeszcze przypomnieć je.

Stanowisko Francji da się streścić w następujący sposób:

Powołany w r. 1949 do życia pakt północnoatlantycki i jego organizacja militarna miały cele „obronne”. Sytuacja polityczna i militarna zmieniła się jednak od tego czasu tak znacznie, że dziś organizacja wojskowa paktu może być wykorzystana wbrew woli kraju — uczestnika sojuszu. Stany Zjednoczone wykazują raz po raz dążność do angażowania się w różnych rejonach świata, czego najwymowniejszym przykładem jest Wietnam, a co dla ich sojuszników może być niebezpieczne. Dlatego nie kwestionując paktu, a nawet zapewniając, że Francja pozostanie „sojusznikiem swych sojuszników”, de Gaulle zamierza:

- ❖ wycofać swe siły zbrojne spod rozkazów dowództwa NATO (swego czasu Francja wycofała już flotę),

- ❖ nie uczestniczyć w dowództwie sił NATO,

- ❖ nie godzić się na pozostawanie wojsk sojuszniczych na terytorium Francji.

Swoje stanowisko prezydent — o czym pisałem w ub. tygodniu — wyraził w liście do Johnsona, a następnie, w memorandum do wszystkich państw NATO. I właśnie nad pierwszą odpowiedź na te stanowcze propozycje francuskie, długo radzieli pozostałi partnerzy z NATO.

Kiedy już ją znamy — wypadłoby zastanowić się, co dalej? Integracja militarna bez Francji? A może w ogóle sojusz atlantycki bez Francji?

Politycy waszyngtońscy dali do zrozumienia, że z Francją czy bez niej — jednak organizacja atlantycka pozostanie. Nie jest to jednak ucale proste i raczej należy wierzyć tym doniesieniom, które mówią o bezradności w tej sytuacji Johnsona i braku alternatywy. Jak sprawa musi być dla

Waszyngtonu poważna, niech świadczą fakt, że prezydent Stanów Zjednoczonych zrezygnował już z przewidywanej na wiosnę podróży po zachodniej Europie.

Alternatywę — po wycofaniu się z dowództwa NATO — ma natomiast de Gaulle. Agencja zachodnie donoszą z Paryża, że prezydent Francji ma podobno w najbliższym czasie uroczyście udzielić gwarancji europejskim krajom NATO. W wypadku jakiegokolwiek ataku na ich terytorium, zobowiąże się on udzielić im swojego poparcia nuklearnego. Agencje te piszą, że mogłoby się to odnosić również do NRF, gdyż została ona „ostatecznie pozbawiona dostępu do broni nuklearnych”, a także, gdyby „nie kwestionowała swych granic wschodnich”.

Wszystko to razem jest niezwykle interesujące i tradycyjnie już ze stosunku francusko- amerykańskiego spróbać do najbliższego punktu od lat, przy czym „najgorzej — jak powiedział kongresman Paul Findley, przewodniczący komisji do spraw NATO i wspólnoty atlantyckiej w Izbie Reprezentantów — może jeszcze nastąpić”.

Ale dość o atlantyckich kłopotach. Przenieśmy się do Azji.

W Indonezji dzieją się rzeczy, których po odebraniu praktycznej władzy Sukarno, należało właściwie oczekiwać. Armia, kierowana przez prawicowych generałów, zaarrestowała członków ministrów, a na ich miejsce gen. Suharto wyznaczył nowych. Wszystko to odbyło się przy mocnym akompaniamentem wojska, które obsadziło najważniejsze urzędy. Inaczej mówiąc, armia przeszła do kolejnego etapu umocnienia swej władzy.

Równocześnie sprzeczne informacje z Dżakarty nie pozwalają zorientować się, gdzie jest Sukarno, a tym bardziej, czy choć w części, jak głosi gen. Suharto, aprobuje on jego pochowanie. Nad Indonezją utrzymuje się więc duży znak zapytania.

W bieżącym miesiącu mija dwadzieścia lat od początku obalenia Dien Bien Fu, które, nie trzeba przypominać, przypieczętowało klęskę wojsk francuskich w Indochinach.

Nawiązując do tej rocznicy popularny na Zachodzie „Newsweek” pisze, że ktoś, kto przybywa obecnie do Wietnamu, ma pełne zdziwienie plażysty starego scenarzysty filmowego.

Pismo miało na myśli stan walki i wrzenia, nam jednak wydaje się, że mimo woli przeprowadziło ono analogię polityczną. Tak, jak bowiem Francuzi po długotrwałej, „brudnej wojnie” musieli przyznać się do przegranej, tak i wojska amerykańskie nie mogą w Wietnamie zwyciężyć.

Jak mała jest skuteczność akcji militarnych Stanów Zjednoczonych, a jak wielkie koszty wojny — wyliczył jeden z amerykańskich statystyków. Wg tego wyliczenia koszt zabicia jednego żołnierza Frontu Wyzwolenia Narodowego wynosi... 375 tys. dolarów.

Praktyczni businessmeni może z tej liczby wyciągną prawidłowe wnioski?

W. ŚLAWSKI

Tkronika TYGODNIA

Ministerstwo Obrony Stanów Zjednoczonych ogłosiło dane, z których wynika, że w działaniach wojennych w Wietnamie zginęło proporcjonalnie więcej Murzynów niż innych żołnierzy amerykańskich. Pod koniec ub. roku Murzyni stanowili 14,8% stanu amerykańskiej armii lądowej, podczas gdy odsetek Murzynów „tęty zginęli wyniósł 18,3%. Niektórzy członkowie kongresu domagają się wyjaśnienia, czy Murzyni dyskry-

macie się na to, że przy „nieboszczyku” nie ma świadectwa zgonu i zaświadczenia epidemiologa. Archeologowie z Melbourne zmuszeni byli zwrócić się do Londynu z prośbą o przesłanie wymaganych przez urząd celný „dokumentów”. Dopiero po złożeniu powyższych egipska mumia znalazła się w miejscu przeznaczenia.

KC FPK uchwalił rezolucje na temat problemów ideologicznych i kulturalnych.



Zawsze do usług

minowani są na polu walki, a przywódcy ruchu walki o prawa obywatelskie zgłaszają protest przeciwko temu, że Murzynów zmusza się do udziału w walce, do której odnoszą się z niechęcią.

Księstwo Lichtenstein do tej pory pozostaje w stanie wojny z Prusami. W 1866 roku armia Księstwa w sile 66 ludzi przystąpiła do działań przeciw Prusom po stronie Austrii. Rząd Lichtensteinu zapomniał jednak zawrzeć ze zwycięskim przeciwnikiem pokoju de jure. Tak więc zaczęta przed stu laty wojna trwa formalnie nadal, mimo że przeciwnik zniknął już od dawna z politycznej mapy Europy.

Wpływy Jugosławii z turystyki zagranicznej w roku 65 osiągnęły rekordową sumę 65 milionów dolarów. Kraj ten zwiędziło 8 milionów turystów. Przewiduje się osiągnięcie w bieżącym roku dochodów rzędu 130 milionów dolarów.

Australijscy celnicy sprzeciwili się wwiezieniu do kraju egipskiej mumii (wiek ponad 2 tysiące lat), powołu-

jąc „Rozwój nauki wymaga dyskusji i badań — głosi rezolucja. Partia komunistyczna nie może ani przeciwstawić się tym dyskusjom, ani głosić aprioryczną prawdę, ani tym bardziej w autorytarny sposób zabierać głos w niesfinalizowanych dyskusjach między specjalistami. Twórczości artystycznej również nie można sobie wyobrazić bez badań, bez różnych prądów i szkół i bez ich wzajemnej konfrontacji. Partia docenia i udziela poparcia różnym formom twórczego wkładu w postęp ludzkości podejmowanego w warunkach swobodnego rozwijania imaginalnej artystów, ich smaku i oryginalności.

Jest pewna rocznica, związana z życiem prezydenta de Gaulle'a, co do której wolalby on prawdopodobnie, aby minęła nie zauważona. 50 lat temu, w marcu, 25-letni nieznany kapitan de Gaulle, wzięty został w słynnej bitwie pod Verdun do niewoli niemieckiej. Zdarzenie to opisał, dziś 80-letni mieszkaniec Stuttgartu, Paul Albrecht, który osobiście wziął de Gaulle'a do niewoli. „Podczas

— konkluduje Albrecht — jak mogłem znieść jego wycho i autorytatywne maniery.

Pismo amerykańskiego businessu „Fortune” przeprowadziło badania ankietowe wśród młodziży studenckiej, z których wynika, że pieniądz przestał być ideałem życiowym tej młodzieży. Spośród 1.051 absolwentów uniwersytetu Harvard, w 1965 roku, tylko 13% miało zamiar ulokować się w przemyśle, transportie lub bankach. 71% zaś pragnęło poświęcić się pracy naukowej. Studenci — konkluduje gorzko „Fortune” — nie dostrzegają możliwości, służenia ludzkości w świecie interesu.

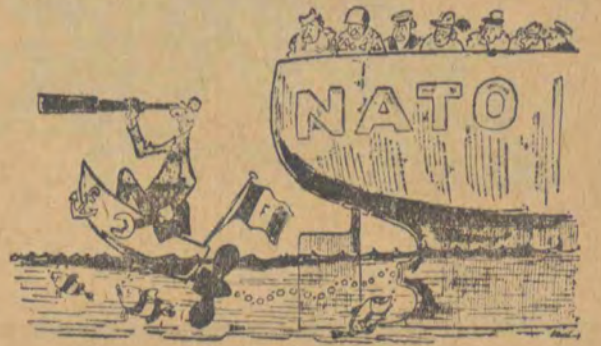
Francis Dubridge realizator sensacyjnej serii telewizyjnej „Malissa”, mimo woli wycisnął piętno na zachodnio-niemieckim życiu politycznym. W Kulmbach, małym bawarskim miasteczku trwała właśnie kampania przedwyborcza do miejscowego samorządu. Lokalna organizacja partyjna CSU czyniła starania o utworzenie bloku z neonazistami. W celu omówienia szczegółów taktycznych odbyło się spotkanie zainteresowanych urzowników w jednym z miejscowych klubów, w czasie gdy trwała transmisja kolejnego odcinka popularnej serii. Uczestnicy zebrania niecierpliwie zerkać na zegarek przyjęli projekt koalicyjnego jednoosobnego „tak” i czym prędzej przenieśli się do sali w telewizyjnej. Dowiedziawszy się o tym zdarzeniu, realizator Dubridge rzekł: „Robię ten program aby zabawić. Okazuje się jednak, że trudno jest uniknąć powiązań z polityką”.

Karę za sukcesy jest to, że trzeba mieć do czynienia z ludźmi, których przedtem można było uniknąć.

(Norman Mailer)

Na forum parlamentu kanadyjskiego toczyła się debata wokół afery, której bohaterką jest piękna, 37-letnia Niemka, Gerda Musinger i były wiceminister obrony Pierre Sevigny. Musinger była przed kilku laty modelek w Montrealu i łączyły ją nader zażyłe stosunki z „więcej niż jednym ministrem” poprzedniego rządu. Z wypowiedzi funkcjonariuszy rządowych — pisze Reuter — zdaje się wynikać, że w posiadaniu władz znajdują się zdjęcia fotograficzne wspomnianej kobiety „w łóżku z ministrem” wykonane przez królewską policję konną.

Newsweek: „W 1965 roku wojska amerykańskie w Wiet-



Demontaż...

(Die Welt)

ZYCIĘ ZA DIETĘ

Ostatniej niedzieli moja żona stwierdziła kategorycznie, że nasza prasa mało co znaczy. Tyle co Ignacy, a Ignacy guzik znaczy. Musiałem się zgodzić z nią, choć bardzo lubię mówić — „tak” kiedy ona mówi — „nie”.

Oczywiście, w dziedzinie informacji, prasa nasza jest bardzo dobra, szybka i konkretna, opinia żony dotyczyła jednak spraw wewnętrznych, o których wielu dziennikarzy pisało, dowodziło, przekonywało i nie się nie zmieniło. Kasprzyk znówu pojawił się na ringu, flaga narodowa poszła w górę i słuchaliśmy hymnu. Tym razem Kasprzyk nie uciekł w drodze do Wrocławia, a szkoda, nie uszkodził nikomu szczęki po drodze. Także szkoda, bo może, a nuż, znalazłby się w Polsce jakiś odważny milicjant i przyskrzytnił nam mistrza. Nie się jednak takiego nie stało, mistrz pojawił się na ringu, przegrał jednoznacznie i co zabawniejsze przegrał nawet mało znających się na rzeczy, że zielonego pojęcia nie ma o boksie. Demonstrował jakąś dziwną obłapkę, jak przy zapasach, trzymał głowę poniżej pasa i bił poniżej pasa. Ponieważ obok wielu dziennikarzy również i ja wołałem na puszczy w sprawie naszego mistrza, musiałem przyznać żonie rację.

Zresztą nie tylko ten jeden raz, no bo jak już Kasprzyk przegrał, żona powiedziała mi, że kampania prasowa przeciw telewizji także nie nie da. Chodzi, jak się państwo pewnie domyślają, o program sobotni. Otóż tego właśnie dnia, a weale nie w niedzielę, od rana idzie atrakcyjny program. Western dla dorastającej młodzieży i dla pozostałych, oraz prawdziwy przedwojenny Eugeneiusz Bodo dla starszych. Cztery godziny rozrywki najwyższej jakości. W mojej instytucji prawie nikt nie pracował, chyba tylko szef, bo mu wypadło, a reszta miała miła sobota, zwłaszcza, że wypadło akurat obchodzić Józefa, a Józefi jakoś nam obradzają w XX wieku. Każdy taką sobotę rozumie, jesteśmy przecież dorośli, gorzej, że równocześnie wzrosła raptownie krzywa wagarów, młodzież rzuciła się hurmem na szklane ekrany, zupełnie jakby znała okólniki pana ministra o potrzebie włączenia środków audiowizualnych do procesu nauczania. Nasza poczciwa i szczerze zatroskana prasa z nawiąknęła protest, ale przecież z góry wiadomo, że jeszcze takiego kija nie znaleziono, który by się okazał skuteczny na naszą telewizję.

I w ten sposób już do południa moja żona dwukrotnie miała rację. Pod wieczór spytałem, czy mi przygotowała białą koszulę, w poniedziałek

musiałem być w Warszawie na ważnej konferencji. Nie przygotowała i nie zamierza tego uczynić. No, więc zagadnąłem o żelazko, chciałem sobie wyprasować spodnie. Nie ma żelazka, nie będzie żadnego prasowania spodni. Musiałem postawić wreszcie dosyć zasadniczą kwestię pieniędzy. Jakich pieniędzy? — usłyszałem pytanie.

Otóż sprawa przedstawia się tak: jeżdżąc pierwszą klasą, po pierwsze dlatego, że mi przysługuję, a po drugie w każdy poniedziałek (tok w poociągu do stolicy taki, że człowiek nie zawsze zdoła znaleźć miejsca siedzącego nawet w jedynej. Na koszty utrzymania, a więc śniadanie, obiad i kolację dostane 21 złotych i 3 złote na tramwaje, jasne więc, że to nie wystarczy. Konferencja jest trudna, trzeba uważać i dzielnie walczyć o interesy mojej instytucji, trzeba też przyzwroicie wyglądać, stąd ta biała koszula i wyprasowane spodnie.

Ale moja żona nie wierzy w żadne konferencje. Ze mam zaproszenie? Małe dziecko wie, że kiedy starsi panowie chcą poszaleć, to jeden wysła drugiemu formalne zaproszenie. Pod „Polonia”, albo „Bristolem” czekają mile panie, no i zaczyna się ta ważna konferencja. Pieniądzy, oczywiście, mi nie potrzeba, od miesiąca ciulam rozmaite zaskórniaki i w gruncie rzeczy jestem dobrze przygotowany do tej konferencji, o 50 złotych proszę tylko dla zamydlenia oczu, ale nie zamydlic. Kto ci nakład takich głupstw do uszu? — pytam żony. W odpowiedzi powołała się na autorytet najnowszy, na ostatni numer „Kobiety i Życia”, z którego dowiedziałem się, że Warszawa nie jest żadna stolica, żadne narady tam się nie odbywają, tylko orgieki panów, chcących się odświeżyć poza domem. Życie za dziełko to tylko miserna, typowo meska próba pokrycia przygód, romansików, wyjazdów w siną dal po jednonocne szczesie.

Więc jednak prasa coś znaczy? — zauważyłem. Oczywiście, przywołała prasa zawsze coś znaczy — odpowiedziała żona. W ten sposób uzyskałem jeden punkt w naszym rodzinnym dialogu. Dobre i to, chociaż nie wiem, co powie szef, jeżeli się dowie, że jego wysłannik nie ma porządną koszulę, spodni, i nawet zwykłej kawy nie stawia dia dobra służby.

Herbaryjski

starca wręcz zginął dowódca francuskiego oddziału. Komendę objął kapitan de Gaulle, zagrzewając współpracowników do walki”. Albrecht postanowił ująć dowódcę francuskiego przez zajęcie go od tyłu. „De Gaulle był bardzo zaskoczony — relacjonuje Albrecht — i próbował uciec. Z pomocą jednego z żołnierzy rozbroił go jednak. Pierwsze wypowiedziane przez niego słowa brzmiły: „Oszczędzanie rannych — to klauzula konwencji międzynarodowej”. Zachowywał się wzywająco. De Gaulle był najbardziej upartym i krnąbrnym jeńcem w obozie. Przedzanie dumny, małomówny, zadzierzyscie nosił swój oficerski mundur. Już wtedy miał o sobie bardzo wysokie wyobrażenie. Gdy w rozmowie z nim wtrociliem, że de Gaulle to nazwa nadawana Francji w dawnych czasach, odparł hardo: jest ona nadal imieniem Francji. Nie czynił jakichkolwiek prób, aby poznać język niemiecki. Gdy zwracano się do niego, zawsze odpowiadał w języku francuskim. Nie mogę pojąć

namie zużyły 1 miliard sztuk naboów do broni ręcznej, 89 milionów sztuk amunicji do lotniczych karabinów maszynowych, 5 milionów rakiet, 7 milionów granatów do zrzucania z powietrza, 10 milionów granatów ręcznych, 10 milionów pocisków moździerzowych i artyleryjskich, 2

Komik jest człowiekiem, który nie, ale to nie nie traktuje poważnie — prócz siebie samego.

(Danny Kaye)

miliony bomb lotniczych. Startujące z wysp Guam bombowce B-52 odbyły około 200 lotów kosztem 500 milionów dolarów.”

Watykańskie źródła prasowe doniosły, po raz pierwszy w historii kościoła katolickiego, iż koszty związane z II powszechnym soborem watykańskim zamklnęły się sumą 7.200 tysięcy dolarów.

Wynalazcy nas

Dalszy ciąg ze str. 1

gowe. Gigantyczna praca. Olbrzymie napięcie umysłu i woli. Tylko naładowany po czubki akumulator daje iskrę.

Pacholski słyszał, jak to było. — On wyciągał grajcarem korek z butelki...

Wtedy go stuknęło. Człowieku, czego jeszcze szukasz? Braun ułożył grajcarek na dloni, popatrzył na korkociąg. Iskra, jedna iskra rozświetliła wszystkie zakamarki. Rozwiała wszystkie wątpliwości. Spirala. Zamiast stosu żelastwa jedna spirala — o wyglądzie korkociągu. Pomysł był tak prosty, tak zadziwiająco nowy, że Braun dostał patent. Sam wielki „Platt” poprosił o te spiralki. Spokojna głowa, Platt płacił po królewsku. Pacholski odwiedził zresztą „Platta” koło Manchesteru. W Anglii wszystko jest stare. Ta firma również. Jej początki sięgają 1790 roku. Technicy pracują u „Platta” 30—40 lat. Bez przerwy. Tak są mistrzowie. Ślusarze, monterzy. Ogromna wprawa. Kolosalne doświadczenie. Nieprzeciętna fachowość. I te tradycje. Cóż tu porównywać? Od 1.000 lat nie stanęła w Anglii noga obcego żołnierza.

Pacholski dopiero w Łodzi ochłonął ze zdziwienia.

Tradycja, ciągłość pracy i dzieł, owszem, rzecz ważna, ale maszynę myśli stwarza. W pracowniach na rogu Andrzeja bez przerwy myśli 130 inżynierów. Gdzie spojrzeć jakiegoś prototypy. Konstrukcje przy szłościowe, jeszcze drzemające. Łódź to już nie tylko perkaliki, tandetne płócienniki, które przynosiły ruble Łódzermenschom, nie przynosiły im jednak dobrego imienia. Maszyny włókiennicze produkują zresztą nie tylko Łódź. Także Bielsko, Zduńska Wola, Kamienna Góra, Dzierżonów... Kraj wyrabiał już kilkadziesiąt różnych maszyn do przerobu wełny, bawełny, sztucznych włókien. Prócz tego maszyny wykończalnice. Prototyp. Ileż trudu mieści w sobie każda śrubka prototypu. Obliczenie, proszę, dopuszczalne ciśnienie w jednym tylko „węźle” zespołu farbierskiego. Więc utrudnił konstruktorzy zadzwonił do Politechniki Łódzkiej:

— Pomóżcie drodzy, macie przecież ten mózg elektroniczny...

Pomogli. Obliczyli przez dwa dni. Jakież to ulga. Jakby kamień spadł. Dwa dni zamiast kilku miesięcy. Pierwsza geyerowska maszyna parowa w 1839 roku i teraz ten mózg elektroniczny. Dwa wydarzenia splecione niewidzialnym lukiem. Ale luk też trzeba napinać, żeby nie zwłotczał. Co tam Angliki — odparł Pacholski. — Wcale nie jesteśmy gorsi. Przyznam, że spoglądałem na inżyniera z zaciekawieniem. Skupiony, brzyda na czole, przenikliwe oczy. W porządku. Tak powinno być. Tak to sobie wyobrażałem. Spoglądałem z ciekawością, bo każdy kto ma na koncie choćby jeden patent, to jakby przeszedł „smugę światła”. Zapytałem wprost:

— Czy to prawda, że jest pan posiadaczem 7 patentów?

— Tak — zgodził się Pacholski. — Mam już 7 patentów.

— Maszyny włókiennicze?

— Oczywiście, to moja specjalność.

— Nad czym pan pracuje obecnie?

— Znowu dłuższa przerwa, wreszcie odpowiedź:

— Nad skrociecarką do przędzy fantazyjnej. Zrobiłem tak zdziwioną minę, że Pacholski roześmiał się po raz pierwszy i od razu odmłodniał.

— Wszystkie te tkaniny w różne zgrubienia, wszelki, więc efekty są wyrabiane właśnie z przędzy fantazyjnej. Prawie 70

procent produkowanych w świecie materiałów opiera się już na takiej przędzy, a nie innej. Dotychczas efekt powtarzał się w tkaninie regularnie, w równych odstępach. My zaś dążymy do tego, aby każdy węzeł, każde zgrubienie było czymś unikalnym, niepowtarzalnym, zaskakującym, czymś za każdym razem innym. Na tym polega nowość no i trudność. Czy mam to wyjaśnić bliżej?

— Przytaknąłem.

— Proszę sobie wyobrazić dwie nitki. Jedną stanowi rodzaj nieruchomego rdzenia. Druga jest w ciągłym ruchu, wiruje wokół rdzenia. To nitka opłotowa. Skonstruowałem mechanizm, który steruje tymi nitkami. Gdy mechanizm zwalnia, wówczas nitka rdzeniowa w określonym miejscu grubieje, gdyż opłot tej drugiej nici trwa odpowiednio dłużej. Sercem mechanizmu jest tarcza programowa, która rozkłada zgrubienia i węzły w sposób najzupelniej dowolny przy pomocy sterujących sprzężelektromagnetycznych. Sprzęgła raz napinają nitkę, to znów ją zwalniają... kolorystyka tkanin może być przebogata...

Inżynier spojrział na mnie z ukosa i ciągnął dalej.

Ja zaś dalszy ciąg wykładu puściłem mimo uszu. Jakiś diabełek mi podpowiadał — Daj spokój pało i tak nie pojmiiesz niczego... Zajmij się już lepiej rysowaniem esów floresów w notesie. Wyobraź sobie, jak takie efekty mogą wyglądać. „Picasizm” we włókiennictwie. Tu plamka, tam linia, gdzieś indziej zygzak. Powiadają, że kiedy Picasso był młody, kazał sobie sprawdzić całe skrzynie murzynskiej ceramiki, także totемов z Afryki. I zaczął podrabiać afrykański prymitywizm w rzeźbie i rysunku. Usiadł i do piekielnie żywych, gorących kolorów, rzucał na płótno swoje własne. Potem płótna rozwiesił. Gapcie się...

— Już wiem — zawołałem, bardzo z siebie zadowolony. — Sprzęgła działają, jak ów dziecięcy kalejdoskop. Potrząsniesz i z kolorowych szkiełek układa się wciąż nowy obraz.

Pacholski wejrzał zdumiony:

— A wie pan, że można by to i tak określić.

— Społędaliśmy teraz na gładkie ściany w gabinecie.

— Namalować ściany w jednym kolorze to rzecz o wiele trudniejsza niż w nasiki i prażki. Deseń wszystko zastąpi — Wtrąciłem.

Pacholski roześmiał się po raz drugi w ciągu tego spotkania.

— To jak z tkaninami. Gładka tkanina jest najtrudniejsza w robocie i daje się uzyskać tylko z surowców najwyższej klasy. Gabardiny wszędzie są bardzo ale to bardzo drogie. Moda zaś zmienia się bardzo szybko. Nasze panie pragną w każdym sezonie nosić inną suknię, inny płaszcz, inny kostium. Kobiety żądają tkanin efektownych dla oka, przy tym tanich. Produkowanie gładkich, jednokolorowych, drogiech materiałów byłoby więc nonsensem. Nawet w najbardziej rozwiniętych krajach produkują się teraz olbrzymie ilości materiałów z przędzy fantazyjnej. To żaden przypadek, to nawet nie rzecz gustu i mody. Rachunek decyduje o wszystkim. Zbyt. Otóż przedzie fantazyjna, można uzyskać nawet ze szmat.

— Rozrzut efektów, zgrubienia i... kolory zastąpią surowcowe mankamenty, czy tak?

— Zawytałam.

Pacholski kiwnął głową:

— To prawda. Gorsza jakość surowca wyjściowego jest mniej widoczna przy bogatej kolorystyce i częstych węzłach w przędzy. Na dobra sprawę wady nie są w ogóle widoczne. Ostatnie słowo ma przecież dzisiaj aparat. Wszędzie rozmyśla się nad tym jakby tu z czegoś zrobić coś. Podstawowy warunek brzmi. — Tkaniny muszą być tanie, dla wszystkich dostępne. Ale wymyślenie czegoś, naprawdę nowego to już cała batalia, do której trzeba się przygotowywać na różnych frontach...

Domyślałem się tego. Nim wynalazca zasiadł do własnych rysunków, musi w pierw przepokonać się przez istne góry wydawnictw zagranicznych. Musi przestudiować wszystkie wydane w tej mierze patenty. Kopiaować nie wolno niczego. Tak zwana czystość patentu bezwzględnie obowiązuje. Nietawo dziś wymyślić coś, czego jeszcze nie ma. Ileż to wielkich i znanych przedsiębiorstw, światła zachodniego, chociażby „Alma-Hamel”, „Berliner-Textilmaschinen”, „Charles Whitley”, inne we Francji, Włoszech... złaszą ją patenty na wyrost. Na Zachodzie opatentowano już 10 różnych przędzerek, których nikt nie produkuje. Opatentowano dlatego,



Tłacz - Fot. E. Kudaj

żeby zagrozić drogę potencjalnym konkurentom. Uwaga, wszystkie prawa zastrzeżone? Przejdzie zamknięte, wstęp wzbroniony!

Nie udało się.

Polska skrociecarka „PL-31” jest czymś zupełnie niezwykłym. Biję wszystkie zagraniczne rywalki. Jest chwila narodzin pomysłu. Jest chwila prototypu. Jest wreszcie chwila kiedy prototyp zaczyna być powielany na produkcyjnej taśmie. Ta decydująca chwila zbliża się szybkimi krokami. Łódzki „Majed” możeby coś o tym powiedzieć. Ale po co? Nie zdradzajmy tajemnic przed czasem. Niech konkurenci trochę się podenerwują. Maszyna jak książka. Dopiero po zejściu z taśmy zaczyna żyć swym własnym życiem.

Rzecz jest zastanawiająca.

Wynalazca jak literat. Żyje z natchnienia, z myśli, z twórczości. Pisarz miota się i szarpie? A wynalazca się nie szarpie? Literat żyje jednak rozgłosem. Wynalazca żyje zapomnieniem. Dlaczego? Czemu wynalazca to anonim? Jakże często wielki anonim. A pisarz to sława? Dziwołag? Chyba tak. Tym większy dziwołag, że to wiek techniki. Gdy pisarz myśli, to wie o tym kraj cały. Gdy wynalazca coś wymyśli, to wie o tym wąskie, jakże wąskie grono. Cóż to za męka, wymależ coś nowego! Wpierw składa się zamówienia na detale, na śrubki, na przewody, druty, kable, na podzespoły. Wynalazca już dziś ma mieć przed oczami obraz maszyny, którą konstruuje za rok. Bo jak nie ma tego obrazu to nie dostanie nawet gwóźdź. Opis ma być dokładny. Ile będzie ważny maszyna? Jaka jej będzie powierzchnia? Ile zużyje stali? Ile metali kolorowych? Jakiego łożyska? Wynalazca już teraz musi wiedzieć, co wymyśli za rok. Ależ, to metafizyka. Mo-

żliwe, ale to również fakt. Mało kto zdaje sobie sprawę, jakiego koła odreki obraca konstruktor. Musi być wroźbitą, wizjonerem, także fantastą.

Zupełnie jak pisarz.

Przy pożegnaniu spytałem:

— Czego pan sobie życzy najbardziej?

Inżynier Pacholski odpowiedział bez chwili wahania:

— Spokoju. Chciałbym doczekać dnia, w którym przez całe 8 godzin będę mógł spokojnie rozmyślać i nikt mnie nie wezwie na żadną konferencję, naradę, odprawę. Nikt nie każe sporządzać wykazów i zestawień. Jak pan sądzi czy taki dzień nadejdzie?

Skąd ja mogę o tym wiedzieć? Może zresztą nadejdzie. Nie wcześniej niż za 3 lata, kiedy 130 inżynierów w białych fartuchach przeniesie się do wieżowca przy Wólczarskiej. Pożęgni gmach pochłonie 40 milionów złotych.

Braun wykombinował spiralkę. Na czym skończył? Na przędzy do przędzy fantazyjnej? Skądże. To wszystko dopiero początki. Inżynier Pacholski jest zdania, że pewnego dnia uda się skonstruować bezwzręczoną, bezbiegającą linię potokową na przędzalnici. Jakis niesłychanie uproszczony automat. Wsuniesz do niego bębel ogipskiej bawełny, wyciągniesz gotową nitkę. I to fantazyjna. Przedsiębiorstwo jest karkołomne. Badania prowadzi równocześnie wiele krajów. Łódź też prowadzi. Ponoć groźni są Japończycy. Starym, angielskim, „plattowskim” szlakiem nikt już nie ma ochoty podać. Automatyczna linia potokowa w przędzalnici. To ci dopiero będzie tragedia!

Wysięg trwa.

JAN BABIŃSKI

Doc. WŁADYSŁAW BORTNOWSKI

AMBASADY POLSKIEJ KULTURY W CZECHOSŁOWACJI

Pomijając „oficjalne” źródło informacji, jakim jest każdy milicjant, od przeciwnego obywatela Pragi czeskiej o wiele łatwiej uzyskać wiadomość, gdzie mieści się Polski Ośrodek Kulturalny, ażeiżi Polska Ambasada. Prowadzący w Czechosłowacji działalność od 1957 roku Polskie Ośrodki w Pradze i Bratysławie potrafiły zainteresować pokazną liczbą Czechów i Słowaków naszą tożsamością i przeszłością — potrafiły je uczynić atrakcyjnymi. W pracy ośrodków pełne odzwierciedlenie znajduje hasło „dla każdego coś milego”, z tym, że praska pla-

cówka rozporządza o wiele szerszymi możliwościami, wobec o wiele skromniejszej w Bratysławie. W Pradze, w lokalu ośrodka przy placu Waclawa 19 mamy kiosk z prasą i czasopismami (bagatela, 90 tytułów gazet i czasopism), polską księgarnię, sklep z cepelowskimi pamiątkami, czytelnię, bibliotekę, salę filmowo-imprezową. Chociaż w nazwie ośrodka dominuje słowo kultura, praca informacyjna ogarnia niemal wszystkie dziedziny życia Polaków współczesnej, Narządywanie kontaktów z różnymi środowiskami czeskiimi i słowackimi, zaspokajanie różnorodnych potrzeb w za-

kreśle wiadomości o Polsce, inspirowanie kontaktów i ułatwanie bezpośrednich zeteknięć, a także propaganda naszej rzeczywistości — oto chyba najważniejszy wycinek pracy.

Np. duże zainteresowanie osiągnięciami polskiej socjologii znalazło szybkie odbicie w zorganizowaniu cyklu wykładów prof. dra J. Szepepańskiego w Pradze. Bratysławie, Brnie i Opawie (styczeń 1966 r.). Obecnie cykl ten w pewnym sensie kontynuuje adiunkt Uniwersytetu Łódzkiego dr J. Kulpińska.

Bardzo często ośrodek wykorzystuje pobyt polskich naukowców, artystów, działaczy gospodarczych itd., by organizować niemal ad hoc spotkania, wieczory dyskusyjne i prelekcje.

Jak dotychczas nie udało się Ośrodkowi doprowadzić na swoim terenie do spotkań polskich literatów z czeskiimi i słowackimi czytelnikami. Nie oznacza to jednak, że takich kontaktów nie ma, zaciebiając one bowiem poza ramami prac Ośrodka.

Oddzielny wycinek działalności stanowią trzecieletnie kursy języka polskiego. Rokrocznie liczba słuchaczy waha się w granicach 300—400 osób. Pewna liczba absolwentów kursów przystępuje do egzaminów państwowych i legitymuje się wówczas oficjalnie uznacną przez władze „znajomością języka polskiego”, która ułatwia uzyskanie pracy w biurach handlu zagranicznego, instytucjach turystycznych i placówkach naukowych.

Spśród absolwentów kursów rekrutuje się większość stałych bywalców czytelnicy, biblioteki i wieczorów dyskusyjnych. Jeśli zaś chodzi o pokazy filmowe, to ścigają one nader różnorodną publiczność, przeważnie młodzież.

Kursy języka polskiego prowadzą czescy poloniści, wychowankowie uniwersytetu praskiego. Kierownikami jest docent Teodor Besza, lektorami doktorzy Jurzina i Meszani. Dla użytku słuchaczy wymienieni pracownicy wydadli dwutomowy podręcznik „Uczebnice polszti-

ny”, który uzyskał wysoką ocenę wybitnego językoznawcy, członka Akademii Nauk Karel Krejczygo.

Praca Polskich Ośrodków w Czechosłowacji nie ogranicza się do miast uniwersyteckich, sięga „głębokiej prowincji”, gdzie każdego miesiąca organizowane są tzw. „Polskie Tygodnie”.

W styczniu „Polskie Dni” ogarnęły miasto i powiat Chrudim. A więc w Chrudimiu otworzono wystawę obrazującą gospodarczą współpracę Polski i Czechosłowacji. W tymże lokalu doszło do spotkania mieszkańców z pracownikami Ośrodka. Wieczór Chopinowski (film, muzyka, recytacje), wieczornica młodzieżowa i pokazy filmów fabularnych uzupełniły „tydzień” w mieście. Lecz kontynuacją „Polskich Dni” w powiecie Chrudim były dwa spotkania na wsi, w czasie których rozwinęła się prawie czterogodzinna dyskusja na temat „wszystko o Polsce” zakończone wyświetleniem filmu.

„Polskie Tygodnie” co miesiąc obejmują coraz to nową część powiat, przychylają się

do wzajemnego zbliżenia polsko - czechosłowackiego, i pozostawiają w terenie zasób wiadomości o naszym kraju, a jakże często likwidują nawarstwione uprzedzenia czy też fałszywą informację.

Ośrodek w Bratysławie rozporządza o wiele skromniejszymi możliwościami. Nie sprzedaje ani prasy, ani cepelowskich pamiątek, lecz udostępnia słowackim przyjacielom Polski czasopisma i książki, organizuje spotkania, odczyty i „tygodnie” w terenie. Od czasu do czasu odbywa się kiermasz polskiej książki i polskich upominków — wówczas przed lokalem wydłuża się kolejka chętnych, których nie mieści szczyt wnętrza.

Na zakończenie pragnę dodać, że „Ambasada Polskiej Kultury” w Pradze jest „obsadzona” przez łodzian. Dyrektorem Ośrodka jest mgr H. Rakowski związany z Łodzią studiami, a jego zastępcą mgr Ryszard Pałliński z „kawi, kości, mieszkanie i studiów” wywodzą się z Łodzi. Wielu pamięta go dobrze jako kierownika WUML-u.

Jaka ONGIS BYŁAM...

Przemysł łódzki dostosowywał swoją produkcję do różnorodnych warunków klimatycznych państwa carów i do poziomu potrzeb kulturalnych swoich odbiorców. Zaspokajał potrzeby mieszkańców okolic podarkicznych, jak i tropikalnych.

Łódź specjalizowała się w produkcji tkanin tanich, aby zdobyć rynki zakaukaskie i Dalekiego Wschodu. Zagarniano rynki zbytu w zakresie o jakim nie marzyli przedsiębiorcy Moskwy, Iwanowa czy innych ośrodków przemysłu włókienniczego. Walka konkurencyjna nasiliła się w latach 1885-1887, trwając parę lat następnymi, wciągając do niej sfery rządowe, społeczne, prasę wielkich miast. Spowodowało to zainteresowanie naszym miastem, do którego przyjechało wielu wybitnych ludzi ówczesnego życia gospodarczego i ekonomicznego.

Przybył tutaj inspektor fabryczny, prof. Uniwersytetu Moskiewskiego Iwan Janżul, delegat Towarzystwa Popierania Przemysłu i Handlu Rosyjskiego w Moskwie; publicysta Sergiusz Szarapow, członek Akademii Nauk w Petersburgu Wł. Bezobrazow, wydawca dziennika „Petersburskie Wiedomości”, dziennikarz A. Kalinowski i inni. Ich to obserwacją i relacjom zamieszczanym w pismach rosyjskich zaszliśmy w wizerunek miasta i obraz życia naszych dziadków sprzed lat 80.

Przybyszów uderzała niezwykła prężność łódzkiego przemysłu. „Za wybitny dowód tego szybkiego wzrostu — powiada Wł. Bezobrazow — może służyć fakt, że w ciągu dwóch lat 1884-1885 w Łodzi powstało 40 wielkich fabryk parowych! Taka ilość zakładów przemysłowych może powstać w najbardziej kwitnących ogniskach przemysłowych chyba tylko w ciągu 10 lat... Bardzo dobrze pamiętam, że na głównym naszym targu, jarmarku Niżno-Nowogrodzkim, gdzie teraz ciągle słyszemy o konkurencji łódzkiej, pierwszy raz zaczęto mówić o wyrobach łódzkich dopiero w roku 1879, gdy sprzedawała się dość znacznie...”

„To co zdumiewało ekonomistów, z równowagi wyprowadzało zainteresowanego kapitalistę, czemu dają wyraz „Moskiewskie Wiedomości” (Nr 302/1886 r.): — „podczas gdy przemysł bawelny Cesarstwa przeżywał ciężkie przesilenie, zmniejszając o dwóch lat wymiary swojej produkcji o 30 proc., tenże przemysł w Królestwie Polskim zwiększył ją o 18 proc.”

Przemysł włókienniczy Królestwa w owym czasie stanowił 1/4 całego tego przemysłu w Cesarstwie. Trzeba było więc poznać tego konkurenta, tego przeciwnika!

Rozwlektło się to miasto fabryczne wzdłuż dawnego fraktu ziersko-kaliszkiego. Oweczynie łącząca ten trakt ulica Piotrkowska miała siedem kilometrów długości, przy stosunkowo nieznacznej w tej przestrzeni szerokości miasta, rozszerzając się lub zwężając przy swej osi (ul. Piotrkowskiej) od dwustu łokci (1) do dwóch wiorst (2). To zaley w jakim punkcie miasta, z powodu ciągłych się równoległych okradzień ciemniejących ścian lasu. Nie była to już dawna puszcza łódzka. Rozrost miasta przetrzebił ją silnie,

Drzewo to przecież tań i pod ręką budulec, jak i materiał opalowy.

„Łódź z początku wywiera dość dziwne wrażenie — powiada dziennikarz A. Kalinowski — mimo obudzającej podziw wielkości miasta, można je nazwać właściwie ulicą Piotrkowską, ponieważ całe miasto składa się mianowicie z jednej ulicy, ciągnącej się 7 czy 8 wiorst, a z obu jej stron widać cały las kominów fabrycznych wyrzucających z siebie taką masę dymu gęstego, że dopiero zaczyna się oddychać wolniej, wchodząc do jakiegoś mieszkania”. Tych fabryk tak wiele „z których każda przedstawia dobre miasto powiatowe, łąca one na przemian z niekimi domami, w których mieszkają królowie bawelny, wełniani, jedwabni, tkaczy i ich liczni pomocnicy i agenci”.

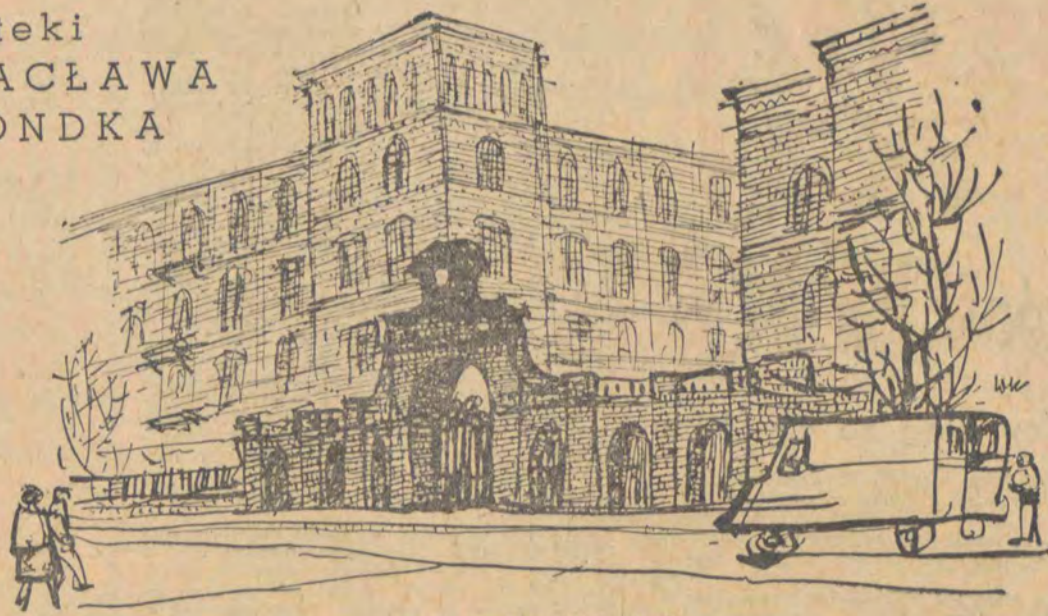
„Łódź — powiada Wł. Bezobrazow — wywiera w ogóle wrażenie miasta tak wielkiego i zabudowanego w najnowszym stylu architektonicznym, jakiego nie wywiera na nas największe miasta, oprócz stolic, a nawet prócz kilku nowozabudowanych części Petersburga i Moskwy. Główną ulicę, mającą osiem kilometrów długości, co do wielkości i piękności budynków można porównać, jeżeli nie z Nowym Prospektem to z Tverską w Moskwie. Lecz charakterystyczna właściwością Łodzi jest to, że oprócz budynków fabrycznych, znajdujących się tak w samym mieście, jak i wokół niego, i domów właścicieli fabryk, nie ma żadnych innych budowli — jedynie budowle, nie mające na celu produkcji, to światynie. Liczne domy fabrykantów są to przeważnie pałace; nie są one zbyt wielkie, lecz bardzo piękne i zbudowane w gustie najnowszych budowli Berlina i Wiednia. Łódź wygląda jakby ją cała zbudowali w tych dniach. Pomiedzy nowymi, wspaniałymi budowlami wszędzie pozostały małe, mizerne domki starej Łodzi, które codziennie są rozbierane. Wszędzie leżą miejsca próżne, które nabywane są pod nowe budowle. Jeszcze nawet w środku miasta pozostały pola, pośrednie grunta orne, które tak niedawno zajmowały większą część obecnego miasta... To miasto, chociaż urzędowo jeszcze powiatowe, jest pierwszym miastem do Warszawy i Kraju Nadwiślańskim (3) i jednym z najpiękniejszych miast Cesarstwa Rosyjskiego, pod względem wielkości, liczby ludności i całego wykładu zewnętrznego. Lecz oprócz swej wielkości, która się tak szybko rozwinęła, Łódź zastępuje jeszcze na uwagę w wysokim stopniu swą charakterystycznością i typowością. Chociaż miasto to pod wielu względami jest jedynym w swoim rodzaju, może być, jedynym w całej Europie, lecz jest ono wytworem współczesnego wielkiego przemysłu i winno być uznane za niezwykle typowy objaw ruchu tego przemysłu i cech życiowych wywołanych przezeń we współczesnym życiu historycznym... Tak narzę powstałe i dotychczas w ciągu kilku lat olbrzymie rozmiary miasta przemysłowego można znaleźć tylko w Ameryce Północnej...”

Sergiusz Szarapow notuje, że łódzcy przemysłowcy rozbudowali swe zakłady szybko, osiągając zezwoleń drogą formalną lub, częściowo, przekupstwem. Nie zdążyli jeszcze dokończyć na dobre fabryki a już w niej pracowano, bywało tak, że na jednym końcu jeszcze pracowali murarze a na drugim już szumiały warsztaty fabryczne”.

Rosnące z dnia na dzień budynki fabryczne rozlokowały się z obu stron głównej arterii komunikacyjnej miasta, za domami, pałacami fabrykantów, przy których do fabryk, wzdłuż równoległych do Piotrkowskiej ulic — Widzewskiej i Wólczńskiej i ich przeczeń — budowano nie mniej szybko domy czynszowe, zamieszkałe przez robotników.

„Podróżni przejeżdżający Piotrkowską — notuje kronikarz „Dzien-

Z teki WACŁAWA KONDKA



ZPB im. Marchlewskiego



Familiaki — Księży Młyn

nika Łódzkiego” — uznają, że rzeczywistość znajdująca się w stolicy przemysłowej kraju. Tylko nie pozwalajcie im zobaczyć z głównej linii A-B na lewo i na prawo, gdzie czarniuchne lśnią błota... gdzie od złotych słońca promieni wyparowują kałuże, niby trzesawiska w puszczech dziejących się a pecherzki twozących się gazów co chwila pekania na ich powierzchni, pokrytej złotawo-żółtawą powłoką zgnilizny... Ulice naszego miasta z nastąpieniem po gody wyglądają jak istne Sahary, piaszczyste szlapy wznoszą się pod obłoki, zakrywając oczom mieszkańców najbliższe otoczenie... Domy nie otykowane świecą kolorem czerwonym i dodają miastu wrażenia koszarowego. Ulice nie wszędzie brukowane a na nich chodniki ciągną się dziwnym zyganiem a raczej węzłem: pochodzą to stąd, że chodniki istnieją tylko przed porządnymi domami, wypadają więc w przeciwnym kierunku przed domy jeden z położonym przed nim chodnikiem... Wzdłuż ich ciągnęły się rzynski, pływne wartki różnokolorowymi strumieniami, a których kolory zależne były od tego, jaki materiał farbowano w drukarniach i farbjar-

niach fabrycznych... Łódź brudna, ciemna (lwią część ulic nie oświetlona) i nie otykowana wygląda z wierzchu jak koszar a wewnątrz jak jeden kantor fabryczny...”

„Gdyby Łódź — powiada obserwatorzy — nakryć wspólnym dachem przedstawiałaby wówczas jedną wielką fabrykę o różnych warsztatach...”

„W obecnej fazie rozwoju kultury europejskiej — mówi Wł. Bezobrazow — wielki przemysł stwarza miasta nie mające innego znaczenia i innego celu, jak produkcję fabryczną. Właściwością Łodzi jest tylko niezwykła jej szybkość wzrostu... Tu jakby nie było ani w przeszłości ani w teraźniejszości innych pierwiastków życia — prócz fabryki. Łódź nie innego nie pamięta ze swej przeszłości i nie ma żadnej innej historii — prócz fabryki; fabryka jest istotą jej istnienia w przeszłości, w teraźniejszości i w przyszłości. Oprócz produkcji fabrycznej nie ma nic ani w pojęciach, ani w podaniach, ani w wierzeniach mieszkańców Łodzi, od góry do dołu, od największego kapitalisty do najbiedniejszego robotnika...”

Ten obiektywny obserwator stwierdza poza tym, że „takiego znaczonego nagromadzenia przemysłu w jednym punkcie zakładów mechanicznych nie znajduje się nigdzie; za ledwie można z tym porównać Moskwę, co do ilości wielkich fabryk parowych, co zaś do wymiarów jednorodnego przemysłu, przerabiającego tylko trzy kategorie materiałów przedzielanych, nie mamy nic cokolwiek zbliżonego do Łodzi. Nie tylko Iwanowa, przewane Manchesterem rosyjskim, lecz cały kraj Szujsko-Iwanowski i cały Wyszucki, razem wzięte, przedstawiają się w porównaniu z Łodzią marnymi co do ilości wielkich zakładów fabrycznych”.

ELA.

1) Łokieć — dawna miara długości, łokieć warszawski równa się 39,55 cm.

2) Wiorsta — dawna rosyjska miara długości.

3) To wówczas powstałe określenie — jako złośliwość pozostało i do naszych dni.

4) Tak nazywano urządzenie Królestwo Polskie.

ROMAN ŁOBODA

CZY ZMIERZCH PAPIEROWEGO KRÓLESTWA?

Trwałość materiału służącego do zapisu wydaje się jakby odwrotnie proporcjonalna do rozwoju myśli ludzkiej.

Kamień potęga, kamień opoka. Wielki pożóg, powodzi, zniszczeń, a niektóre zapisy na kamieniu przetrwały. Czymże cieniutki papier, papierus, a nawet krucho glina wobec granitu?

Niestety, musieliśmy rezygnować kolejno z usług kamienia, gliny i papieru na rzecz papieru. Konieczność utrwalania, przekazywania, informowania, oznaczania, określania, sterowania, programowania a nawet opakowywania doprowadziła produkcję papieru do monstrualnych roz-

miarów w XX w. Jedną z najtańszych zniszczalnych form materii stała się podstawa do utrwalania prawie wszystkich zdobyczy nauki i sztuki. Paradoksem tym głębszy, że środkiem masowych zniszczeń coraz mniej materiałów może być ostatnio oprócz. Niemniej jednak z wszystkich wypróbowanych przez dziesiątki wieków materiałów tylko papier jest zdolny unieść kolosalne zapotrzebowanie na zapis we współczesnym świecie. Czas papieru, papierowa era — śmiało można powiedzieć. Ponad 50 milionów ton masy papierowej rocznie produkują papiernie całego świata. (Ile to ton by było, gdyby nadal na kamieniu...?). W samej Polsce — ponad 587 tys. ton. Wydajemy w kraju rocznie ponad 554 mln egzemplarzy gazet, ponad 80 mln książek i broszur. Papier stał się miernikiem cywilizacji i w pewnym sensie kultury narodów. Wynaleziony ok. 105 roku n.e. przez Chińczyka Tsai-Lunga i trzymany przez 6 wieków w ścisłej tajemnicy wyszedł poza „chiński mur” dopiero w 751 r. do Arabii. Do Europy dołał w XI wieku poprzez Hiszpanię. Najstarsza papierznia w Toledo (1158 r.).

Papier zalew, papier powódź i miernik naszej cywilizacji... Półki z książkami, sterty gazet, zeszyty, notatniki, kalendarze, listy, monety, rachunki, czek, pieniądze i papier toaletowy (!?). Ratuńki! Wysoka fala unosi. Dokąd?

Jadę do Dusznik na Dolnym Śląsku i stał ta refleksja i stał ta panika. A w Dusznikach, wiadomo „już niebawem zostanie otwarte Muzeum Papiernicze”. Tymczasem autów mknęły że hej, przez Ziemię Kłodzką. Pedzimy przez piękne krajobrazy, napotykując po drodze zamki, pałace, świątynie, gdzie wprawdzie nie oczekują nas tajemniczy rycerze, królowy i heroldowie, gdzie nikt na nas nie czeka, ale i tak urok „tych wspaniałych zabytków przeszłości” otoczy, złeniwoli i trochę zasmuci. Jezioro w Otmulkowie i tylko ślady na wodzie po motorówkach, żagłówek oraz syrenkach (nie mylić z samochodami) bo zima i wiatr mroźny dręcha do wody. W zabytkowym zamku i ratuszu (XIV w.) cienie dworzan i głosów radnych echa. Jedziemy dalej. Śnieg przysypał pola i poślizg na szosie. W Kamieniu Zabkowickim fragment neogotyckiego zamku — dokument kultury i świadectwo niszczycielskich wojen. Jedziemy dalej, czas leci! Pięknie położone Kłodzko wabi, zachęca do: „Rzuciłbym to wszystko, rzuciłbym Osiedlbym...” zimą w Kłodzku lub Długopolu

W parterowym domu, przy cichej ulicy...” gdyby nie to, że do Dusznik trzeba, a trzeba. Mijamy piękna Polanice-Zdrój, wspinamy się serpentynami przez pierwsze

szerokie nieszerokich już gór i wpadamy do hotelu. Koniec jazdy; zanurzania się w pejzażach i zabytkach? Ciężka praca czeka. W recepcji jak w rajku. Cisza, spokój i telewizor. Posada dla literata. Ciepło, bezpiecznie i jeden zapis przez cały tydzień. Drugi „zapis” to my. Formalnościom stało się zadość. Bez cienia niesmaku wrzucamy z siebie szatki. Ceremonia o charakterze raczej zarczynowym niż meldunkowym rozbudza wiarę w przyszłość rodzimej administracji. Noc zaskoczyła gwałtownie. Kontakty dobre i żarówka nieprzełączona; senne zmagania z wizją dzieła, które jutro ma być spełnione.

Świt opóźniony snem, obłędna męka golenia (sie) i w teren, w papiernicę.

„Zainteresowania historią papierniczną nie ograniczają się do szeregu zakrojonych studiów, pobudzają one do podejmowania w szeregu krajów akcji zmierzających do rekonstrukcji starych młynów papierniczych, restytuowania dawnych metod produkcyjnych, wreszcie gromadzenia obiektów muzealnych, względnie organizowania muzeów papierniczych”.

Istnieją w różnych krajach muzea połączone z czerpalniami papieru pracującymi według przedwiecznych sposobów. Najślawniejsze: St. Mary Cray w hrabstwie Kent w Anglii, Arnheim w Holandii, Wielkie Łódziny na Morawach w Czechostwo-

wacji i Richard de Bas w Owerńi we Francji.

Zdaje się, że dotarliśmy, do sedna sprawy. Sedno zamknięte na cztery zamki, lekko poddrzewało. Stoimy na drewnianym mostku, pod nami szmerze Bystrzyca i Dusznicka; trudno zrozumieć, bo pies szczeka, przez okienko widać beczkę z kapustą. Dzień i godzina zwiedzania papierni, więc stukamy, a pies swoje. Nad krytą gontem kopuła pawilonu wejściowego metalowa chorągiewka z liczbą 1605. Domyśliamy się, że to rok urodzin budynku papierni. Czekamy rozglądając się, pies szczeka, kapusta pachnie, Bystrzyca opowiada.

Nie ma co „fajowa starość”, brylant przemysłowego budownictwa; jeden z najciekawszych obiektów tego typu w Europie. Dwa komponowane w siebie budynki: drewniany pięciokondygnacyjny suszarnia i murowany młyn wodny; (wszystko do roku 1709 w stylu renesansowym) w baroku utrzymanym do dziś. — Widzimy, widzimy, Gonty, belki, deski, krokwie w ład i harmonie spójne — pośmiertne życie drzewa w architekturze.

Pies szczeka, wiatr zimny podwiewa, Bystrzyca szemrze. Od niejakiego Ambrożego Teppera nabył papiernię niejaki Mikołaj Kreczmer, przybył z Saksonii. Kilka pokoleń Kreczmerów czerpało przez 100 lat papier, zyski i nawet zaszczyty z

STUDIUM CWANIAK IAC TWA

Jarosław Abramow określił swojego „Aniola na dworcu” — którą to sztukę wystawił ostatnio na Małej Sali Teatr Nowy — jako groteskę naturalistyczną. Wydaje się jednak, że pojęcie to nie określa nowego gatunku dramatycznego, ale raczej nazwy pewien modus konstruowania samego utworu scenicznego, pewien sposób potraktowania materiału przez dramaturga.

Materiałem Abramowa w przypadku „Aniola” jest autentyczny list chłopca skarżącego się redakcji jednego z pism na tryb postępowania powiatowej biurokracji. Ekspozycja sceniczna tego listu zostaje dokonana w I akcie sztuki, którego akcja dzieje się na konkretnym, odróżniającym w swojej rzeczywistości dworcu kolejowym małego miasteczka. Tutaj Chłop opowiada przypadkowo spotkanemu Podróżnemu dzieje swoich niedoli. Ale już w tym samym I akcie kończy się ów niemal reportażowy naturalizm. Retrospekcja Chłopa zostaje zainscenizowana, uwidoczniła w przedstawieniu, którego reżyserem staje się także przypadkowy Podróżny, przedstawiający się jako pracownik Ministerstwa Finansów. Opowiadany przez Chłopa proces sądowy zostaje zainscenizowany na scenie-dworcu kolejowym przez obecne tam postacie: Podróżnego, Bagażowego, Chłopa i jego córkę. Chwyt „teatru w teatrze” występujący w tej scenie — notabene dosko-

nałe rozegrany przez aktorów — zapowiada demaskację fałszywości bohaterów, demaskację mającą miejsce w zakończeniu sztuki.

Z chwilą zapadnięcia kurtyny po I akcie dramatu wiemy, że Podróżny jest hochsztaplerem żerującym na naiwności Chłopa, od którego zdążył wyłudzić większą sumę pieniędzy i którego córki omalże nie uwiódł.

W II akcie Podróżny ofiarowuje się z „pomocą” urzędnikowi władz powiatowych, będącemu ofiarą ciemnych machinacji Chłopa znanego nam już z aktu poprzedniego. Widz zaczyna tracić poczucie prawdziwości występujących osób, prawdziwości charakterów, w jakich jawią się na scenie. Czy urzędnik jest „biurokratycznym cwaniakiem” usiłującym za wszelką cenę nałożyć domiar na biednego Chłopa, czy odwrotnie — Chłop jest cwaniakiem, który terroryzuje powiatowego urzędnika? W każdym razie Podróżny, u którego pomocy szukają obaj, wydaje się być cwaniakiem nad cwaniakami usiłującym skorzystać na każdej ze stron walczących.

Sytuacja wydaje się być nienowa, wykorzystana już wielokrotnie jako chwyt komediowy. Ale zakończenie sztuki niszczy i tę iluzję. Urzędnik, Chłop, jego córka, Bagażowy okazują się sprawnie działającą grupą, mającą za cel wykrycie machinacji hochsztaplera. Do jego demaskacji dochodzi w finale — ale wówczas postać Podróżnego jawi się nam w zupełnie innym świetle. W chwili, gdy Podróżny staje się ofiarą, w chwili, kiedy w obliczu zemsty powiatowej kliki broni się krzyżąc, że chciał wyświecić prawdę — wtedy widz traci pewność, czy miał do czynienia z grasującym na prowincji cwaniakiem z miasta, czy też z inspektorem kontrolującym nadużycia w terenie. Studium cwaniactwa osiąga swoje apo-

geum. Proporceje zostają rozchwiane do końca; do rekonstrukcji ich nie dochodzi.

Powstaje groteska wyrosła z konkretnych sytuacji znanych doskonale współczesnemu Polakowi. Groteska naturalistyczna. Nie mamy tu do czynienia — jak w „klasycznej” grotesce — z procesem konkretyzacji scenicznej uniwersaliów, ale z czymś zupełnie odwrotnym: artystycznym wyzyskaniem wieloznaczności konkretnego — jak pisze sam autor — przejściem od konkretnego do uogólnienia. Jeśli technika taka doprowadza do absurdu lub choćby do tego, co nazwalibyśmy rozchwianiem proporcji — mamy do czynienia z groteską naturalistyczną.

Wydaje się, że reżyser (J. Machulski) i aktorzy łódzkiego wystawienia „Aniola na dworcu” potrafili we właściwy sposób ująć intencje autora. Zarówno Janusz Klośński jako Chłop, jak i Bohdan Mikuć jako urzędnik powiatowy, stworzyli postacie żywcem przejęte z tego rodzaju „wykwitów” polskiej prowincjonalnej. Ich gestykulacja, sposób mówienia, sposób bycia — doskonale oddawały charakter stwarzanych postaci. Ow naturalizm gry aktorskiej nie pozwalał omylić się widzowi ich prawdziwego oblicza. A o to przecież w tej sztuce chodzi: o narzucenie odbiorcy niepewności co do rzeczywistego charakteru przedstawionego świata. Dwuznaczność charakteru postaci precyzować ma dopiero zakończenie dramatu poprzez działanie momentem zaskoczenia i niespodzianki. Gdyby wymowa finału posiadała swoje antycypacje w środkach gry aktorskiej podczas trwania całości przedstawienia — element rozchwiania proporcji, element wieloznaczności, zostałby — wbrew intencjom dramatu — przytłumiony i zgaszony.

Bohaterowie sztuki są postaciami typowymi dla naszej rzeczywistości. Te typowości dobrze uchwycili zarówno J. Klośński, B. Mikuć, jak i Ryszard Dembiński kreując typ „niebieskiego ptaszka” latającego po prowincji, Franciszek Trzeciak jako typ nierozgarniętego Bagażowego (świątyni), a także Barbara Gołbiewska (lepsza wszakże w roli zagranicznej turystki niż jako córka Chłopa).

Typowość, schematyczność jest elementem komicznym i komizmu tego starali się aktorzy nie unikać, dzięki czemu publiczność bawi się jak na najlepszej komedii obyczajowej. Ale w dramacie Abramowa zasada typowości i komizmu z niej wynikający zostają w finale zakwestionowane: naiwny Chłop, nierozgarnięty Bagażowy, zbiurokratyzowany urzędnik, okazują się przebiegłymi od Podróżnego-hochsztaplera; grupa cwaniaków bierze górę nad cwaniakiem działającym w pojedynkę. Wtedy na widowni milknie śmiech: „cywilizacyjna całość spójna — jak mówi Norwid — spogląda na samą siebie”...

Teatr Nowy (Mała Sala): J. Abramow, „Aniol na dworcu”; reż. J. Machulski, scen. Wł. Wasilewski.



Afisz teatralny



Nowy teatr w Łodzi.



Przyjazd artystów teatrów prowincjonalnych
Reprodukcji archiwalnych dostarczył Wł. Baranowski



Scena zbiorowa z „Aniola na dworcu”

papierni w Dusznikach. Jak wysoko sztuka czerpania była ceniona świadczą fakt, że jednemu z Kreczmerów cesarz Rudolf II nadał szlachectwo. Ponoć właśnie ów Kreczmer wynalazł środek uodporniający papier na działanie insektów. Następne sto lat „czerpali” z Czech przybyli Hellerowie. Łatwo można wyliczyć, że właśnie oni przebudowali papiernię, zmieniając styl renesansowy na barok.

W XIX w. papiernia przechodzi na własność rodziny Viehr, a przed wojną stara czerpalnia zostaje zamieniona na muzeum.

Nikt nie otwiera, nogi przemarzły, koniec pieśni.

Sposobami znanymi z powieści kryminalnych odnalazłszy dozorcy muzeum, Jana Kubalę z żoną Marią smakoszką i „historyczką” zabytkowej papierni. Ona to właśnie, a nie kto inny, pielęgnowała olej 1,5 m na 0,9 m, ręcznie malowany z roku 1778, przedstawiający... Fryderyka II. Zawsze zamiatając papiernię, w kat drugi odstawiała obraz, zawsze broniła go przed agresją meża, który nie znośił „tej geby”. To p. Maria pokazała nam oryginalne sito z XVII w. i papier z tego sita czerpany. Później oryginalne matryce: wzory z mosiadzu nabijane na drzewo; całość — piękna ręczna robota, przypominająca dzisiejsze kompozycje artystyczne.

Przeglądał się naszym zachwytonym brat Marcin jak żywy wyrzeźbiony

w białym marmurze i p. Kubalę po gospodarstwu, cierpliwie.

— A tutaj — gdy żona skończyła, — powiedział — jestem przy remoncie od 10. X. 63 r. Pomagam.

Dzięki inicjatywie wojewódzkiego konserwatora zabytków we Wrocławiu i dyrekcji PSP, Wydział Kultury WRN zlecił inwentaryzację i przystąpienie do renowacji budynku. Wydatkowano ponad 2 mln zł i słowo stało się drzewem. Z zachowaniem wszystkich szczegółów architektonicznych dokonano wymiany szeregu elementów konstrukcyjnych pokrycia dachu i ścian bocznych. Wszystko z drzewa. Piękne, ale najbardziej rozczula zawieszona na zewnętrznej ścianie pierwszego pietra, jak jaskółcze gniazdo, wygódka z wypustem na rzekę.

Idziemy nocnymi, wąskimi schodami. Deski trzeszcza jak stare. Duże hale, suszarnie papierni kondygnacjami wznoszą się w górę aż pod stropy. Wchodzimy na każde z czterech pięter; w mroku dotykamy gęsto rozstawionych drabinek drewnianych, na których suszono folie czerpanego papieru.

Wracamy innymi, lecz również wąskimi i stromymi schodami.

— Jeszcze nie wszystko skończono — zauważa pan Kubala, którego zainteresowania koncentrują się na zagadnieniach technicznych. Dostrzegam i ja coś niecoś. Instalacja elektryczna dość niedbale prezentuje się w mroku. — Odbiór był? — py-

tam. — Dwa razy. — Nieźle. Komisja nie przyjęła. Roboty skończono — nie-skończono wczesną jesienią. Próba nowego odbioru wisi. Wiadomo — jak to remonty... w zawieszaniu. Tymczasem drzewo pachnie czarem historii i skrzypi pod naszymi stopami, gdy krok za krokiem zsuwamy się w dół.

„Po zakończeniu robót remontowych możliwe stanie się urządzenie w szereg pomieszczeń na piętrach stałej wystawy ilustrującej rozwój papiernictwa na świecie, w Polsce i na Śląsku. Scenariusz wystawy opracowany został przez najwybitniejszych polskich specjalistów odnoszących do dzieł. Po otwarciu stałej wystawy historycznej zostaną udostępnione zwiedzającym zbiory zabytkowych urządzeń z zakresu produkcji papierniczej oraz znaków wodnych. Na nieco późniejszy okres (sprawa wymaga bardzo gruntownych i zupełnie nietypowych przygotowań) przesuwa się uruchomienie ręcznej czerpalni papieru. Na oczach zwiedzających odbywać się będzie ściśle odpowiadający szesnastowiecznemu rytuałowi proces ręcznego formowania z masy papierniczej szmacianej, pojedynczych arkuszy, wyciskania z nich wody i następnego suszenia”.

A na dole, w murowanej, piwnicznej części budynku gdzie do mieszania masy papieru, leżą kamienne koła (gniotniki), resztki dźwigiów i pras, dwa drewniane wały z osa-

dzonymi na nich nożami (wały dawnej maszyny papierniczej tzw. holandra) — tyle pozostało po wojnie i szabrownikach, reszta trzeba będzie skompletować.

Celem tej „roboty” jest nie tylko obrona cenowego zabytku i udostępnienie krajowemu i zagranicznemu ruchowi turystycznemu unikalnego obiektu. Muzeum to muzeum, dydaktyka to dydaktyka, a papier to papier. Produkujemy wprowadzić około 590 tys. ton masy papierowej rocznie, lecz papier papierowi nierówny.

Encyklopedia poucza fachowo: wysoka jakość papieru zależy od sposobu czerpania, od umiejętności i woli wykonującego tę czynność, w którego mocy jest również uniknąć pecherzy powietrza i wielu innych wad... w papierze.

Na dusznicki czerpany papier czeka już główny odbiorca. Oficyna Graficzna w Warszawie. Ręcznie czerpany, drobnitko siateczkowy papier jest niezbędny do akt państwowych, ozdobnych zaproszeń, dokumentów erekcyjnych, dyplomów, reedycji, starodruków, wydawnictw bibliofilskich i artystycznych, wyrobów pamiątek, słowem — pięknodruków.

Na poprawę usterek i odbiór budynku (papierni) w Dusznikach czeka: Urząd Rady Ministrów, Rada Państwa, ambasady, ministerstwa i wydawnictwa artystyczne, bowiem Oficyna Graficzna w Warszawie

wykonuje m. in. i dla nich zamówienia.

A jeżeli już po odbiorze? To chwala Ci Panie Wszemchogący Kierowniku Robót!

Nie w tym rzecz jednak, jakkolwiek rzecz ważna, i nie w tym punkt sprawy.

Zacznijmy od pieca, bowiem pamięć krótka: trwałostwo materiału służącego do zapisu wydaje się jakby odwrotnie proporcjonalna do rozwoju myśli ludzkiej. Podobnie jest z jego (materiału) jakością. Ręczna robota potęga, ręczna robota opoka nawet w erze sputników. Ale jak wyjść z impasu? Ile jeszcze można zrenowować „średniowiecznych” papierni? Standard estetyczny rośnie, ulega rozpowszechnieniu.

Panna Mania też by chciała na czerpanym papierze — zaproszonko, laurka, albo wieść o zamążpójściu. Jubilat też nam przybywają, a przybywają i też... — A tymczasem lasy rzędna a rzędna, myśl rośnie — a rośnie — paradoks (papierniczy) się pogłębia.

I coś mi się widzi zmierzch papieru — może jeszcze nie zaraz, może za dziesięć lat — zmierzch materiału drogiego, nietrwałego, niewygodnego, niezdatnego do wielokrotnego wymazywania i długowiecznego utrwalania zapisu.

Tak sobie pomyślałem w drodze powrotnej z Dusznik i nie mam zamiaru dłużej łamać tym własnej głowy. Są inne.

ROMAN GORZELSKI

NOC PO CIĘŻKIM DNIU

Przylegająca do portu część miasta zanurzyła się we mgłę i należało tylko przejść kilka ulic w stronę ładu, aby znowu zobaczyć niebo już zaciągnięte chmurami ze skrawkiem czerwonej słonca zawieszonym nisko na zachodzie. Bar, do którego dochodziły odgłosy morza, nazywał się „La Fantasia”. Bywali w nim wracający z rejsu marynarze. Lubili ten bar. Można w nim było zagrać w domino, napić się piwa, popadać. Ale to jeszcze nie wszystko. Uśmiechnięty lysawy barman w kraciastej koszuli zawsze chętnie zmieniał płyty. Miałem tam moją ulubioną z Ray Charlesem. Kiedy głos tego niewidomego Murzyna zaczął dolatywać do moich uszu — przelałem się, rozluźniałem mięśnie, wygodnie siadałem na długiej ławie przy stoliku przy ścianie i czułem jak przebiega przeze mnie miły dreszcz, a gęsia skórka zatrzymuje się na policzkach. Pochłaniając smutne zawodzenie — nieruchomiejąc aż do końca płyty. Wtedy oprócz śpiewu nie do mnie nie docierało. Nie słyszałem nawet jak grają w domino stukając czarnymi prostokątnymi klockami o blat stołu i krzycza.

Tego dnia siedziałem z Ianem, młodym Szkotem, który przyjechał niedawno z Australii.

— Nigdzie nie jest mi tak dobrze jak w Szkocji — powiedział Ian. — Tu są wspaniali ludzie, prawda?

— Tak — wypuściłem z ust strumień dymu i napiłem się z kufła.

— Jeszcze nie wiem gdzie zamieszkam na stałe. Może w Pitlochry. Widziałeś to miasto?

— Tak, ale przecież ciebie ciągnie morze. — Tam też będzie mi dobrze — Ian odrzucił dłoń spadające mu na czoło wypalone słońcem jasne włosy.

— Rób jak uważasz. Może kiedyś ciebie odwiedzę — mówiłem rozglądając się po sali.

Przy barze stali mężczyźni w roboczych ubraniach. Gestykulowali, palili, chwiłali się w zwojach dymu nad kufkami. Mężczyźni wchodzili i wychodzili. Trzaskały zaszkłone małym kolorowym szybkami drzwi. Ian siedząc obok mnie obracał stojący na stoliku do połowy napełniony kufel i patrzył przed siebie.

— O! — wykrzyknął nagle — ten stary znowu tu jest. Dawno go nie widziałem.

— Jaki stary?

— Ten gruby, siwy, co stoi przy barze. Nie znasz go?

— Skąd mam znać. Przecież jestem tu od niedawna.

— Prawda. Ciekaw jestem co się z nim działo przez te dwa lata. Pływa na „Betty”, w maszynie.

— A ty, skąd go znasz?

— Jak to skąd? Tutaj przychodzi. On nigdzie nie przychodził, tylko tutaj. Mówię ci, chłopie, facet gada jak mało kto. Nikt mu nie wierzy, ale każdy go chętnie słucha. Zmienia jak złoto. Ten to by pisał książki, gdyby chciał. A on nie. Mówi, że najlepsze słowo jest mówione. Dziwak, ale ciekawy dziwak. Frank ma na imię, a tu w porcie mówią na niego Literat.

Patrzyłem na Literata. Ubrany był w przynieszone niebieskie dżinsy i w granatową marynarkę. Gdy spojrział w naszą

stronę i zobaczył Iana — uśmiechnął się i unosił do góry rękę. Przepychał się, wielki i troche ocieżały.

— Halo! Znowu tu jesteś. Od pewnego czasu zastanawiam się, skąd się bierze u młodych ludzi takie umiłowanie ojczyzny. — Tradycja — uśmiechnął się Ian. — Słuchaj z nami, Frank. A to jest mój przyjaciel, Polak.

— Polak, powiadasz? Znakomicie. Lubię Polaków. Pływałem z nimi. Można wytrzymać. — Frank przysunął sobie stołek i usiadł.

— Skąd cię niesie, Frank? Jak „Betty”?

— Z Danii. Krótki rejs. „Betty” jest już cholernie stara. Gdyby odpukać rdzę — nie by z niej nie zostało.

— „Betty” się rozpadła, a tobie jakoś nic — żartował Ian.

— Nie martw się, jeszcze nie jeden statek zajeżdża. Morze i słońce nie szkodzą tylko ludziom.

Wyjął fajkę i zaczął ją nabijać. Zapalił. — Już kilka razy byłem w Danii — mówił — ale widocznie mam pecha, bo za każdym razem kiedy wychodzę na ład zaczyna padać. Dużycy poubierani w peleryny przeciwdeszczowe jeżdżą na rowerach, a peleryny są tak duże, że zakrywają cały pojazd. W miastach ulice pachną tytoniem, a na ulicach kobiety. Dużo ładnych kobiet. Patrzył — idzie sobie taka elegancka, ale na nogach zamiast zwykłych butów ma drewniane sandały. Tam wszyscy chodzą w sandałach. Widocznie są bardzo oszczędni.

— Tradycja, Frank — powiedział Ian — tradycja, a nie oszczędność.

— Może — zgodził się Frank. Przyglądał się swojej dużej o rzeźbionym cybuchu fajce. — Może — powtóżył i nagle odżył się.

— Pan jest Polakiem. A czy słyszał pan o takim statku, który nazywał się „Joseph Conrad”? Nie? To był wspaniały statek — Frank umilkł i przykniął oczy. — Wspomniał... Żaloga składała się z Polaków i z Brytyjczyków. Najlepsi marynarze. Wziliśmy prawie wszystko. Żywność, węgiel, a nawet broń. Bandera też była polsko-brytyjska. Pole było biało-czerwone, a na nim znak Zjednoczonego Królestwa. Pływałem w czasie wojny z konwojem. To była duża robota. I czas był gorący. Wtedy doby nie dzielono na godziny. Dobe dzielono na ataki z morza i z powietrza. Taki był podział. Wy jesteście młodzi i nie wiecie, że wówczas nie było ani dnia ani nocy. Tylko morze, okręt i kurs. Krótki odpoczynek i znowu morze. I nic więcej. Aż pewnego razu donadli nas. Rozłupali torpeda i przycisnęli do dna. „Joseph Conrad” zaczął się palić... Ja się urałowalem i jeszcze kilku. Dobry był statek... Został w połowie drogi ze Stanów Zjednoczonych. Część załogi też tam została...

Barman nastawił fokestrota.

Frank wytrząsnął z fajki popiół i włożył ją do kieszeni. Patrzyłem na niego. Twarz miał opalona i tak poorana bruzdami jak ziemia bez wody.

Wstał.

— Wpadnę tu jutro. Bedziecie?

— Chyba tak — Ian również wstał i włożył ręce do kieszeni spodni.

— No to ciesz!

Frank skierował się w stronę drzwi. Ian znowu usiadł na ławie.

— Literat to fajny chłód, tylko nie należy brać poważnie tego co mówi. Kiedyś to samo opowiadał pewnemu Rosjaninowi. Oczywiście wtedy statek nazywał się „Dostojewski”, a połowę załogi stanowili Rosjanie.

— Ładnie to robi — powiedziałem z uznaniem.

— Nauczył się. To już tyle lat... Chodźmy, zbliża się dziesiąta.

Ja myślałem o Literacie, a Ian gwizdał „A hard day's night”. Spotykaliśmy coraz więcej ludzi i wreszcie znaleźliśmy się na głównej ulicy. Przechodziliśmy obok kina.

— Może wpadniemy na godzinę — zaproponował Ian. — Akurat graja coś o Church-

illu. Ten facet to taka mała podreźnana encyklopedia wojny. Idziemy?

Kiedy zajęliśmy miejsca, na ekranie była już druga wojna światowa. Churchill chodził, mówił, palił cygaro. Obok mnie siedzieli jacyś dwaj smarkacze. Śmiali się głośno, palili papierosy i strzasali popiół na podłogę. Na ekranie bitwa o Anglie. Myślałem, że będzie coś o Polakach. Nie było. Potem Monte Cassino. Też nic.

— Głupstwo — powiedział Ian, kiedy znowu szliśmy ulicą — nie przejmuj się, to tylko film.

— To tylko film — zgodziłem się, ale w dalszym ciągu myślałem o lotnikach i o Monte Cassino.

— Życie jest bogatsze w szczegóły. — Bogatsze.

Przed nami szły dwie dobrze zbudowane kobiety. Ciągnęły za ręce opierającego się, może dziesięcioletniego chłopaka. Kiedy mijaliśmy ich zauważyłem, że to nie był chłopak. Miała twarz mężczyzny w średnim wieku.

— Chodź! — mówiła jedna z kobiet — chodź, przyniesiesz nam szczęście.

— Kurwy, puście mnie, puście — prosił karzeł.

— Pani kurwy, należy mówić, panie kurwy!

Przeszliśmy na drugą stronę ulicy. Na rogu stał kiosk, w którym sprzedawano parówki i piwo. Obok stało kilkunastu ubranych w skórzane kurtki długowłosych Rockersów. Klaszcząc w dlonie śpiewali „A hard day's night”. Ian po chwili wyrzyknął z tłumem kupujących z dwiema parówkami. Stałymi dłużej niż pół godziny, a ludzi wcale nie ubywało. Wreszcie powoli zaczęliśmy się oddalać stamtąd, a za nami leciało klaskanie i ciągle ta sama piosenka: „Noc po ciężkim dniu”...

KONRAD FREJDLICH

RÓŻNIE IDĄC

(Artykuł dyskusyjny)

Liczebność zaplecza literackiego Łodzi jest faktem znanym w zasadzie wszystkim. Dość powiedzieć, że „Dziennik Łódzki” przez ponad pół roku prezentował na swych łamach wiersze poetów zaliczanych do najmłodszych w mieście i bynajmniej nie wyczerpał pełnej listy. A od tamtej pory przybyło jeszcze sporo zupełnie nowych nazwisk jak tego dowiodły choćby dwa ostatnie konkursy: Łódzka Jesień Poetów i Turniej Jednego Wiersza.

A jednak łódzki oddział Związku Literatów Polskich od lat kilkunastu nie może przekroczyć magicznej liczby 50 członków. Jeśli wziąć pod uwagę fakt, że w regionach, które jeszcze niedawno prawie się nie liczyły na mapie literackiej kraju, oddziały ZLP podwoiły, a niekiedy i potroili liczbę członków, musimy sytuację jaką istnieje w Łodzi uznać za niekorzystną, choć ma ona i dobre strony. Po prostu łódzkie środowisko pisarskie odpowiedziało na liźcebnny rozrost innych oddziałów aktywizacja artystyczna i nie tylko utrzymać, ale wprost podniosło swoją rangę.

Jakże więc w rzeczywistości przedstawia się sprawa zaplecza literackiego Łodzi, o którym wiemy wszyscy tyle, że jest liczebne? A domyśliamy się też, że sama liczebność nie wystarczy. Idźmy więc dalej, czyli przyjrzyjmy się nieco obradom i Sympozjum Młodych Twórców Polskiej Centralnej, gdzie zaplecze zebrało się niemal w komplecie, a nawet radziło, jak uzdrowić stosunki w kulturze narodowej. Przedtem jednak małeńka dyskusja, czytelnik zadowolony zapewne zauważył, że unikam tu jak diabeł święconej wody terminu „młodzi poeci czy pisarze”, zastępując go słowami „zaplecze literackie” jako bardziej oddającymi istotę zjawiska. Rzecz bowiem w tym, że spory odsetek debiutantów przekroczył dość dawno barierę wieku, jaka przystoi młodym poetom. I jak to czasem bywa, przyborowi łysiny nie zawsze towarzyszy przybór dojrzalszych tekstów, choć oczywiście są chwalebne wyjątki.

Zaplecze, o którym mowa, stanowi ciekawą panoramę socjologiczną i organizacyjną. Znajdujemy tu i nauczycieli i studentów, techników i lekarzy, aktorów i dziennikarzy, znajdziemy wreszcie takich, co nie pracują nigdzie i próbują wegetować, za przykładem honoraria z rzadkich druków. Łączą się w grupy i grupki przy różnych organizacjach od Związku Literatów począwszy, gdzie stanowią Koło Młodych, poprzez Związek Młodzieży Wiejskiej (Korespondencyjny Klub Młodych Pisarzy), Związek Młodzieży Socjalistycznej (Grupa XX), Uniwersytet Łódzki, Klub pod Żurawiem, po PAX. Rzecz oczywista, w samym zjawisku powstawania takich grup nie ma nic zdroźnego. Grupy literackie powstawały jak świat światem i to najczęściej poza stowarzyszeniem profesjonalnym. Pozwalają one pisarzom na początki ich drogi formułować programy i manifesty artystyczne, w najgorszym zaś razie przepychać się lok-



Ingeborg Mällies-Flierl

ZYGMUNT FIJAS

JUTRO RANO TEŻ BĘDZIE DZIEN

(Ze szkicownika)

Widać było w kuchni burmistrzów, że Kasia mądrała odeszła. Na stolach piętrzyły się stopy nie umytych garnków, w szafkach razem z obierzanymi mokrymi ścierkami, ale nowej służącej podobano się wszystko: zegar z kukułką, ogromny trójstronny kredens — ciężki chyba jak gdańska szafa, stół z grybem japońskim, a także podłoga wyłożona płytkami ceramicznymi.

Aż oniebiała z wrażeń.

Burmistrzynie uczeszona z tego oniebiała oprowadziła ją po wszystkich pokojach; pochwaliła się szpiarką pełną weków, rzeźbionym fortepianem, wreszcie — znów w kuchni — rzekła: — No, widzisz, jak się szparuje, to się ma... A takich klamek jak u nas — nie znajdziesz nawet we dworze... Ale, ale, ale — zaśmiała się — teraz i we dworach nie ma smaków; wszyscy długi mają.

Hania podzielała to samo zdanie: — Nasz teresiński pan, lechman, to wszystko w karty przetrzyjnił. A potem położył się na kanapie, życia żałował.

Burmistrzynie nie spodobala się ta uwaga Hani. — Co tobie do pana teresińskiego? Jeśli grał, to widocznie miał z czego grać. Jakby nie miał, to by grał? Grałby jak Teodor, co zeszedł na psy... Już zaczynasz filozofować — jak ta Kasia mądrała, co odeszła. Siedź w kącie, ujrzą cie, przyjdzie czas, weźma cie. A pokorne ciele dwie krowy sse, to pamiętaj... Ile ci roków idzie, dziewczuszkę?

— Siedemnaście. Po świętej Łucji będzie dwadzieścia bez dwóch.

— A taki potrafiły aparat do drełowania widziałas?

Hani podobala się przyrzad do drełowania. Wyrzucał pestki bez pomocy harnada czy agrafki. Ale wynalazek do mycia szyb nie podobala jej. Zostawiał smugi; trzeba było dobrze rękę przyłożyć, jeśli szyby miały

być czyste. Toteż rzekła: — Dobry jest taki aparat, ale do patrzenia — i na jarmarku, u agentów. W domu tylko kłopot.

— No widzisz — pochwaliła ją chlebodawczyni. — Widać, że swój rozum masz, bo najlepsza maszyna to ręka... A jak się dobrze nie przyłożysz, jak nie jesteś robotna, jak się nie napocisz, to — nie!... Na nie mydło i powidło, „radion sam pierze”... Czyli widzę, że ci się tutaj podoba.

— Bardzo nawet.

— To dobrze.

Burmistrzynie zmierzyla krytycznym spojrzeniem troche za małe ręce Hani (lepiej, żeby były jak grabie; Kasia miała takie ręce, ale się zepsuła). Potem przyjrzała się jej zgrabnym nogom (to też był feber; nogi robotnej służącej powinny być grube w kostkach, jak u młodego drobiu; ludy jak szynki, — bardzo dobrze jeśli stopy są szerokie, stabilne; palce duże, wykrzywione)... Troche rzuciła ją siwe oczy Hani; dziewczyna o takich oczach długie nie zagrzeje, bo ją sprzątana; albo stanie się latawica. Ale jest młoda, to ją można przyuczyć; wyrobi się.

— No, stań do światła, niech ci się lepiej przyjrze.

Hania wytrzeszczyła oczy jak do „potegrafu”. Uśmiechnęła się sztucznie.

— Dobrze z ciebie dziewczuszkę — rzekła pracodawczyni. — Czy masz czyste, niekłamliwe. Nie takie, jak ten huncwot, co ja chleb bódł... Ona na wszystko miała odpowiedź. Co ja jej jedno słowo, to ona mi dwa. Och, mówię ci, psia... — Burmistrzynie chciała powiedzieć: „psiakrew, psiamac”, ale rzekła: Psia, psia kostka!.. A wiec chciała być?

— Bardzo bym chciała. Gdzie pójde? Na saksy?

— Do Niemiec nie potrzebujesz jechać. Będziesz Niemcem służyla?... W mieście roboty nie brakuje. Dlaczego szukać guzów za

granicą, skoro tu chleb jest? A kto chce psa uderzyć, ten kij znajdzie... Tylko lenie i wólczykije oglądają się za „bezrobociem”. Wyciągała łapy po cudzą własność, łażą po drogach... Albo w biały dzień rzucają biuro, jak ten twój sekretarz, co z wólczegami poszedł... Tak, tak — westchnęła. Zaś po chwili zaczęła się zwierzać: — Myśmy nie mieli... Tylko dziesięciuro palców... Niem rak do nikogo nie wyciągała; harowałam, szparowałam, składałam ziarnko do ziarnka... I powiedz... jest miarka czy nie jest?

Hania spojrziała w okno, za którym magistracki woźny wypręgał konie.

— Jest miarka — przytaknęła — i to bogata.

— No, widzisz — ucieszyła się burmistrzynie. — Jednemu noże goła, a drugiemu brzytwa nie cheć. Ale trzeba mieć olej!... Trzeba chcieć, by mieć!

* * *

Po burmistrzynie przyszła do kuchni Aninka. Usiadła na kufrze, obitym szerokimi obręczami i unosząc wysoko kolano, żeby było widać jej dessous oraz podwiązki, a zresztą tak było wytwornie, zapytała: — A wiec na imię ci Mania.

— Nie Mania, lecz Hania — sprostowała nowa służąca.

— Ach, Hania. Dobrze, że nie Mania... Wszystkie służące nazywały się u nas Marjanna albo Domicela. Lub — Katarzyna... To lepiej, że się nazywasz Hania. Nie — Femicja, Domicja lub Magdzia... Chociaż Magdzia to też ładne... Do tego imienia ładny kapelus, zgrabne bućki, futerko, torbka, ale koniecznie z krokodyla... No i — samochód — samobież... Aaach, Haniu, jakbym chciała mieć samochód. U nas takie błoto. A powód dobry, ale jak się auto zepsuje... Wyczyć mi buty!

Hania nie rozumiała dlaczego imię Katarzyna ma być niedobre. Nosila je pani we dworze. Ale gdy Aninka wysunęła ku niej bućki, posmutniała. Sekretarzowi butów nie czyściła. Jeszcze na jego nogach. Nawet by mu przez myśl nie przeszło. On nawet okien nie pozwalał myć. Śmiał się z tego ludzie, bo on przecie był urzędnikiem, ale on — krowe doł, wodę nosił ze studni... Zamiatł nieraz, jak mu co strześliło do głowy.

Nabrała ładu na szmatkę, wyglanceowała paniące buty.

Aninka opytawszy się o wszystko; o wiek Hani, jej rodziców, przystąpiła do najważniejszej kwestii: chłopaków. Ile razy miała z nimi do czynienia — i jak często.

— Ale Hania nie miała żadnych romansów. Co mogła o tym powiedzieć?

Był we wsi kulawy Józek, z którym dawniej pasaża krowy... on ją nawet czasem szturchnął w bok, niekiedy uszczypał; ale jaki to był romans? — Aż wybuchnęła śmiechem.

Burmistrzównie to rozgniewało.

— Z czego się śmiejesz? Chcesz dostać w pape, wycieruchu?... Już zaczynasz medrkować... Ale jak mieszkałaś z sekretarzem, toś wiedziała, co robić; żeby psuć! Nie udawał porządnej, my wszystko wiemy.

Hania opuściła głowę.

— Postugiwałaś. Czy to grzech?... A co miałam psuć? — Już była bliska placzu.

— Wy wszystkie jesteście po tych samych pieniadach; jedne są po osiemnaście, drugie po dwadzieścia bez dwóch... Aninka poślinała palce i pomazała swe golone brwi. — A wólczykije się z chłonakami, jak... Ach, mniejsza o to. To mnie nie obchodzi... A potem bierzecie ślub w biele... A wianek... Gdzie wianek?... Bo jak mogłabyś nie być z sekretarzem, mając takie ładne oczy?... Jak posprzątasz, to przyjdź do łazienki, unijesz mi plecy... Ale przedtem zapałisz w piecu, bo zgasało.

To powiedziawszy stanęła na nosach swych pantofelek; podeszła do drzwi: Po tem obróciła się ku Hani, powiedziała: „tpry, ciuémoku”, i kurcząc palce jak przed uderzeniem w klawisz, i trzymając dlonie wysoko jak leń, wyszła. Zostawiła po sobie mdły zapach perfum — i szeszt taftowej spódnicy jak zeszech gromowiny.

— Ależ fiifutka — pomyślała Hania. — Tako sama fiifutka jak siarsianka. Nawet tak samo wyrurkowana jak Lola Kluk.

Myslała o Karolinie Kluk... o „ondelowanej” wadowie po sierżancie pułku strzelców podhalańskich. Ona też tak wyginała dionie. Gdy szła do sklepu przelewając się z nogi na nogę — i trzymając dlonie zwieszzone jak nierób, wszyscy się z niej śmiali.

A potem wyszła za lokaja, wszystkie pierścienki mu ukradła; futerko z francuskich swistaków, pelerynę, wszystko... Tako ona była ta „malupa”.

W pape powiedziała, że mi da — rozza-

KONKURS NA WIERSZ O WALKACH GL I AL

1. Wydział Kultury Prezydium WRN w Łodzi i Zarząd Oddziału Łódzkiego ZLP ogłaszają Konkurs Literacki na wiersz związany tematycznie z walkami GL i AL stoczonymi na terenie pow. piotrkowskiego w okolicach Polichna przez 1 Oddział GL im. Stefana Czarnieckiego pod dowództwem Fr. Zubrzyckiego „Małego Franka”.

2. Konkurs jest zorganizowany z okazji XXV rocznicy wymarszu 1 Oddziału GL w lasy tomaszowsko-piotrkowskie w celu podjęcia zorganizowanej walki zbrojnej w okupowanym kraju.

3. Konkurs ma charakter otwarty. Hość prac składanych przez jednego autora jest dowolna.

4. Na Konkurs wolno nadsyłać prace wyłącznie nie publikowane dotąd ani w całości ani w fragmentach.

5. Prace zgłasza się w trzech egzemplarzach opatrzonej godłem. Prace należy składać (zw. nadsyłać) w sekretariacie Oddziału Łódzkiego ZLP - Łódź, Mickiewicza 8. Do pracy należy dołączyć kopertę opatrzoną tym godłem i zawierającą nazwisko autora.

6. Ustala się następujące nagrody:

- I - 3.000 zł
- II - 2.000 zł
- III - 1.000 zł

oraz trzy wyróżnienia po 500 zł.

7. Nagrody przyznaje sąd konkursowy powołany przez organizatorów w składzie:

Marjan Piechal - przew. komisji, prezes Oddziału Łódzkiego ZLP, Bolesław Urbanicki - kierownik Wydziału Kultury PWRN w Łodzi, Stanisław Kaszyński - krytyk literacki, Tadeusz Papier - literat, Stanisław Czerniak - literat.

8. Termin składania prac upływa z dniem 10 maja 1966 r. Decyduje data stempla pocztowego. Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi do dnia 30 maja 1966 roku.

KSIAŻKI NADESLANE

Zofia Dróżdż-Satanowska - „NIEWYDEPTANE SCIEŻKI”, LSW, cena zł 13.-

Lech Bądkowski - „O KTO RYCH MYSLIMY”, W. Morskie, cena zł 12.-

Ryszard Kłyś - „KAKADU” WL, cena zł 12.-

Aniela Gruszka - „W REKU POTOMNYCH”, tom II, WL, cena zł 20.-

Marian Mikuta - „EPITAFIUM”, LSW, cena zł 10.-

Jan Adamczewski - „Tajemnice Starego Krakowa”, WL, cena zł 30.-

K. Pruszyński - „WYBÓR PISM PUBLICYSTYCZNYCH”, t. II, WL, cena zł 85.-

ANDRZEJ BISKUPSKI WSZYSCY MURZYNI SĄ JEDNAKOWI

Autor felietonu „A może król jest rągi” (Panorama „Dziennika Łódzkiego” z dnia 6-7 marca br.), Jan Koprowski poruszył bardzo istotne sprawy związane z tzw. hermetyzmem współczesnej poezji. Wydaje mi się, że zagadnienie to jest tak ważne ze społecznego punktu widzenia, że wymaga szerszego przedyskutowania, przeto i ja pragnę wrzucić swoje „trzy grosze” - i niech autor felietonu zechce wybaczyć, jeśli nie we wszystkim będę się z nim zgadzał.

Pierwsza kwestia: choć na początku felietonu autor wyznaje, że nie jest „z tych co poezję współczesną odsadzają od czci i wiary” - to jednak nie czyni tak na pewno w stosunku do poezji najmłodszych twórców, gdy pisze, że oni to... „podrabiają i naśladowują się wzajemnie, których wiersze stają się tak do siebie podobne, że nie sposób ich odróżnić”. Krótko: ze słów tych wynikałoby tyle, iż wśród tzw. młodych poetów jest taki nieurodzaj i takie beztalencie, że stać ich tylko na epigonstwo i to wobec siebie samych. A przecież uważa o tej „jednakowości” - wyrażona w sposób uogólniający - może być o tyle tylko słuszna, jeśli poprzedzona będzie obszerną analizą porównawczą tekstów - w przeciwnym razie możemy tu mieć do czynienia jedynie z tego rodzaju postawą, jak w znanym powiedzeniu: „wszyscy Murzyńcy są do siebie podobni”. W każdym razie jesteśmy na tropie mitu, jaki zaczyna wytworzać się wokół propozycji artystycznych młodych poetów. Mit ten, zresztą jak każdy mit, przyczynia się do rozpowszechniania nieprawdziwych opinii, które na pewno nie mają na celu stworzenia przychylniej atmosfery na najpiękniejszy poczynanym młodych adeptów sztuki poetyckiej: więcej: odnosi się wrażliwość - może nie zamierzone - do autorów felietonu - do tendencji, pejoratywnego wartościowania tego wszystkiego, co pragnie proponować młode i najmłodsze pokolenie poetów.

Zresztą zagadnienie nie jest nowe i żeby zdać sobie sprawę z powszechności podobnych mniemań, przytoczę następujące zdarzenie. Rok temu gościł w naszym mieście wybitny poeta awangardowy - Julian Przyboś. Swoją wieczór autorski - który odbywał się w Czytelni Biblioteki Miejskiej im. L. Waryńskiego przy szczerze wypełnionej sali - zaczął on od słów: „Trzydzieści lat temu zarzucano nam, poetom awangardowym, że nasza poezja jest niezrozumiała - ale ci młodzi poeci, którzy teraz piszą, to dopiero są niezrozumiałymi...” (oczywista - sala przyjęła te słowa z aplauzem).

Ta anegdota już wypowiedź jest charakterystyczna z kilku powodów, może na bowiem wyciążyć z niej następujące wnioski: Po pierwsze: to, co było trzydzieści lat temu niezrozumiałe w poezji, stało się zrozumiałe obecnie - czyli zarzut „niezrozumiałości” nie jest kategorią absolutną, ponadczasową; - po drugie: to, co wydaje się niezrozumiałe obecnie, przestanie być niezrozumiałe po pewnym czasie (krótszym lub dłuższym), jeśli tylko ulatwimy czytelnikowi oswajanie się z nową propozycją artystyczną; - po trzecie: choć wszyscy wiedzą, że Julian Przyboś jest wnikliwym i wrażliwym czytelnikiem każdej poezji - także poezji najmłodszych - to jednak widać zarysowujące się różnice między młodymi, a starszą generacją poetów. Różnice te są przede wszystkim natury światopoglądowej artystycznej: inne bowiem były warunki kształtujące świadomość poetów starszego

pokolenia i inna była sytuacja społeczna u początków ich propozycji artystycznych. W tej krótkiej wypowiedzi trudno mi dokładnie omówić naszkicowane powyżej zagadnienie (niemniej problem został postawiony i - przy okazji - chętnie do niego powrócę). Tymczasem chciałbym wystąpić z następującą propozycją. Zamiast uyskiwać, że poezja współczesna jest niezrozumiała, zajmijmy się po prostu jej popularyzacją. A jak? - Oczywiście, druk samego tylko tekstu poetyckiego, nie wystarczy - obok niego powinno znaleźć się dokładne omówienie, w którym zawarłybyby wskazówki, co do odczytywania treści utworu, co do konieczności zastosowania takiej a nie innej formy wypowiedzi artystycznej itp. itp. Byłoby to z początku swego rodzaju „nauka czytania wiersza współczesnego”, a w pewnej chwili czytelnik już sam wyniosłby satysfakcję estetyczną z lektury tekstu, który dotychczas miał prawo brać za „czarną magię”. Wydaje mi się, że tego rodzaju akcja ze społecznego punktu widzenia byłaby wskazana i wielce pożyteczna.

Propozycję tę kieruję przede wszystkim pod adresem redakcji „Odgłosów”, jedynego w naszym mieście tygodnika społeczno-kulturalnego, który staje się coraz bardziej popularny i ceniony, i który z powodzeniem podejmował już wiele akcji popularyzacji kultury wśród szerokiego mas odbiorców.

W tej krótkiej wypowiedzi trudno mi dokładnie omówić naszkicowane powyżej zagadnienie (niemniej problem został postawiony i - przy okazji - chętnie do niego powrócę). Tymczasem chciałbym wystąpić z następującą propozycją. Zamiast uyskiwać, że poezja współczesna jest niezrozumiała, zajmijmy się po prostu jej popularyzacją. A jak? - Oczywiście, druk samego tylko tekstu poetyckiego, nie wystarczy - obok niego powinno znaleźć się dokładne omówienie, w którym zawarłybyby wskazówki, co do odczytywania treści utworu, co do konieczności zastosowania takiej a nie innej formy wypowiedzi artystycznej itp. itp. Byłoby to z początku swego rodzaju „nauka czytania wiersza współczesnego”, a w pewnej chwili czytelnik już sam wyniosłby satysfakcję estetyczną z lektury tekstu, który dotychczas miał prawo brać za „czarną magię”. Wydaje mi się, że tego rodzaju akcja ze społecznego punktu widzenia byłaby wskazana i wielce pożyteczna.

Propozycję tę kieruję przede wszystkim pod adresem redakcji „Odgłosów”, jedynego w naszym mieście tygodnika społeczno-kulturalnego, który staje się coraz bardziej popularny i ceniony, i który z powodzeniem podejmował już wiele akcji popularyzacji kultury wśród szerokiego mas odbiorców.

W tej krótkiej wypowiedzi trudno mi dokładnie omówić naszkicowane powyżej zagadnienie (niemniej problem został postawiony i - przy okazji - chętnie do niego powrócę). Tymczasem chciałbym wystąpić z następującą propozycją. Zamiast uyskiwać, że poezja współczesna jest niezrozumiała, zajmijmy się po prostu jej popularyzacją. A jak? - Oczywiście, druk samego tylko tekstu poetyckiego, nie wystarczy - obok niego powinno znaleźć się dokładne omówienie, w którym zawarłybyby wskazówki, co do odczytywania treści utworu, co do konieczności zastosowania takiej a nie innej formy wypowiedzi artystycznej itp. itp. Byłoby to z początku swego rodzaju „nauka czytania wiersza współczesnego”, a w pewnej chwili czytelnik już sam wyniosłby satysfakcję estetyczną z lektury tekstu, który dotychczas miał prawo brać za „czarną magię”. Wydaje mi się, że tego rodzaju akcja ze społecznego punktu widzenia byłaby wskazana i wielce pożyteczna.

Propozycję tę kieruję przede wszystkim pod adresem redakcji „Odgłosów”, jedynego w naszym mieście tygodnika społeczno-kulturalnego, który staje się coraz bardziej popularny i ceniony, i który z powodzeniem podejmował już wiele akcji popularyzacji kultury wśród szerokiego mas odbiorców.

Propozycję tę kieruję przede wszystkim pod adresem redakcji „Odgłosów”, jedynego w naszym mieście tygodnika społeczno-kulturalnego, który staje się coraz bardziej popularny i ceniony, i który z powodzeniem podejmował już wiele akcji popularyzacji kultury wśród szerokiego mas odbiorców.

Propozycję tę kieruję przede wszystkim pod adresem redakcji „Odgłosów”, jedynego w naszym mieście tygodnika społeczno-kulturalnego, który staje się coraz bardziej popularny i ceniony, i który z powodzeniem podejmował już wiele akcji popularyzacji kultury wśród szerokiego mas odbiorców.

Propozycję tę kieruję przede wszystkim pod adresem redakcji „Odgłosów”, jedynego w naszym mieście tygodnika społeczno-kulturalnego, który staje się coraz bardziej popularny i ceniony, i który z powodzeniem podejmował już wiele akcji popularyzacji kultury wśród szerokiego mas odbiorców.

Propozycję tę kieruję przede wszystkim pod adresem redakcji „Odgłosów”, jedynego w naszym mieście tygodnika społeczno-kulturalnego, który staje się coraz bardziej popularny i ceniony, i który z powodzeniem podejmował już wiele akcji popularyzacji kultury wśród szerokiego mas odbiorców.

Propozycję tę kieruję przede wszystkim pod adresem redakcji „Odgłosów”, jedynego w naszym mieście tygodnika społeczno-kulturalnego, który staje się coraz bardziej popularny i ceniony, i który z powodzeniem podejmował już wiele akcji popularyzacji kultury wśród szerokiego mas odbiorców.

Propozycję tę kieruję przede wszystkim pod adresem redakcji „Odgłosów”, jedynego w naszym mieście tygodnika społeczno-kulturalnego, który staje się coraz bardziej popularny i ceniony, i który z powodzeniem podejmował już wiele akcji popularyzacji kultury wśród szerokiego mas odbiorców.

Propozycję tę kieruję przede wszystkim pod adresem redakcji „Odgłosów”, jedynego w naszym mieście tygodnika społeczno-kulturalnego, który staje się coraz bardziej popularny i ceniony, i który z powodzeniem podejmował już wiele akcji popularyzacji kultury wśród szerokiego mas odbiorców.

Propozycję tę kieruję przede wszystkim pod adresem redakcji „Odgłosów”, jedynego w naszym mieście tygodnika społeczno-kulturalnego, który staje się coraz bardziej popularny i ceniony, i który z powodzeniem podejmował już wiele akcji popularyzacji kultury wśród szerokiego mas odbiorców.

Propozycję tę kieruję przede wszystkim pod adresem redakcji „Odgłosów”, jedynego w naszym mieście tygodnika społeczno-kulturalnego, który staje się coraz bardziej popularny i ceniony, i który z powodzeniem podejmował już wiele akcji popularyzacji kultury wśród szerokiego mas odbiorców.

Propozycję tę kieruję przede wszystkim pod adresem redakcji „Odgłosów”, jedynego w naszym mieście tygodnika społeczno-kulturalnego, który staje się coraz bardziej popularny i ceniony, i który z powodzeniem podejmował już wiele akcji popularyzacji kultury wśród szerokiego mas odbiorców.

Propozycję tę kieruję przede wszystkim pod adresem redakcji „Odgłosów”, jedynego w naszym mieście tygodnika społeczno-kulturalnego, który staje się coraz bardziej popularny i ceniony, i który z powodzeniem podejmował już wiele akcji popularyzacji kultury wśród szerokiego mas odbiorców.

W tej krótkiej wypowiedzi trudno mi dokładnie omówić naszkicowane powyżej zagadnienie (niemniej problem został postawiony i - przy okazji - chętnie do niego powrócę). Tymczasem chciałbym wystąpić z następującą propozycją. Zamiast uyskiwać, że poezja współczesna jest niezrozumiała, zajmijmy się po prostu jej popularyzacją. A jak? - Oczywiście, druk samego tylko tekstu poetyckiego, nie wystarczy - obok niego powinno znaleźć się dokładne omówienie, w którym zawarłybyby wskazówki, co do odczytywania treści utworu, co do konieczności zastosowania takiej a nie innej formy wypowiedzi artystycznej itp. itp. Byłoby to z początku swego rodzaju „nauka czytania wiersza współczesnego”, a w pewnej chwili czytelnik już sam wyniosłby satysfakcję estetyczną z lektury tekstu, który dotychczas miał prawo brać za „czarną magię”. Wydaje mi się, że tego rodzaju akcja ze społecznego punktu widzenia byłaby wskazana i wielce pożyteczna.

W tej krótkiej wypowiedzi trudno mi dokładnie omówić naszkicowane powyżej zagadnienie (niemniej problem został postawiony i - przy okazji - chętnie do niego powrócę). Tymczasem chciałbym wystąpić z następującą propozycją. Zamiast uyskiwać, że poezja współczesna jest niezrozumiała, zajmijmy się po prostu jej popularyzacją. A jak? - Oczywiście, druk samego tylko tekstu poetyckiego, nie wystarczy - obok niego powinno znaleźć się dokładne omówienie, w którym zawarłybyby wskazówki, co do odczytywania treści utworu, co do konieczności zastosowania takiej a nie innej formy wypowiedzi artystycznej itp. itp. Byłoby to z początku swego rodzaju „nauka czytania wiersza współczesnego”, a w pewnej chwili czytelnik już sam wyniosłby satysfakcję estetyczną z lektury tekstu, który dotychczas miał prawo brać za „czarną magię”. Wydaje mi się, że tego rodzaju akcja ze społecznego punktu widzenia byłaby wskazana i wielce pożyteczna.

W tej krótkiej wypowiedzi trudno mi dokładnie omówić naszkicowane powyżej zagadnienie (niemniej problem został postawiony i - przy okazji - chętnie do niego powrócę). Tymczasem chciałbym wystąpić z następującą propozycją. Zamiast uyskiwać, że poezja współczesna jest niezrozumiała, zajmijmy się po prostu jej popularyzacją. A jak? - Oczywiście, druk samego tylko tekstu poetyckiego, nie wystarczy - obok niego powinno znaleźć się dokładne omówienie, w którym zawarłybyby wskazówki, co do odczytywania treści utworu, co do konieczności zastosowania takiej a nie innej formy wypowiedzi artystycznej itp. itp. Byłoby to z początku swego rodzaju „nauka czytania wiersza współczesnego”, a w pewnej chwili czytelnik już sam wyniosłby satysfakcję estetyczną z lektury tekstu, który dotychczas miał prawo brać za „czarną magię”. Wydaje mi się, że tego rodzaju akcja ze społecznego punktu widzenia byłaby wskazana i wielce pożyteczna.

W tej krótkiej wypowiedzi trudno mi dokładnie omówić naszkicowane powyżej zagadnienie (niemniej problem został postawiony i - przy okazji - chętnie do niego powrócę). Tymczasem chciałbym wystąpić z następującą propozycją. Zamiast uyskiwać, że poezja współczesna jest niezrozumiała, zajmijmy się po prostu jej popularyzacją. A jak? - Oczywiście, druk samego tylko tekstu poetyckiego, nie wystarczy - obok niego powinno znaleźć się dokładne omówienie, w którym zawarłybyby wskazówki, co do odczytywania treści utworu, co do konieczności zastosowania takiej a nie innej formy wypowiedzi artystycznej itp. itp. Byłoby to z początku swego rodzaju „nauka czytania wiersza współczesnego”, a w pewnej chwili czytelnik już sam wyniosłby satysfakcję estetyczną z lektury tekstu, który dotychczas miał prawo brać za „czarną magię”. Wydaje mi się, że tego rodzaju akcja ze społecznego punktu widzenia byłaby wskazana i wielce pożyteczna.

W tej krótkiej wypowiedzi trudno mi dokładnie omówić naszkicowane powyżej zagadnienie (niemniej problem został postawiony i - przy okazji - chętnie do niego powrócę). Tymczasem chciałbym wystąpić z następującą propozycją. Zamiast uyskiwać, że poezja współczesna jest niezrozumiała, zajmijmy się po prostu jej popularyzacją. A jak? - Oczywiście, druk samego tylko tekstu poetyckiego, nie wystarczy - obok niego powinno znaleźć się dokładne omówienie, w którym zawarłybyby wskazówki, co do odczytywania treści utworu, co do konieczności zastosowania takiej a nie innej formy wypowiedzi artystycznej itp. itp. Byłoby to z początku swego rodzaju „nauka czytania wiersza współczesnego”, a w pewnej chwili czytelnik już sam wyniosłby satysfakcję estetyczną z lektury tekstu, który dotychczas miał prawo brać za „czarną magię”. Wydaje mi się, że tego rodzaju akcja ze społecznego punktu widzenia byłaby wskazana i wielce pożyteczna.

W tej krótkiej wypowiedzi trudno mi dokładnie omówić naszkicowane powyżej zagadnienie (niemniej problem został postawiony i - przy okazji - chętnie do niego powrócę). Tymczasem chciałbym wystąpić z następującą propozycją. Zamiast uyskiwać, że poezja współczesna jest niezrozumiała, zajmijmy się po prostu jej popularyzacją. A jak? - Oczywiście, druk samego tylko tekstu poetyckiego, nie wystarczy - obok niego powinno znaleźć się dokładne omówienie, w którym zawarłybyby wskazówki, co do odczytywania treści utworu, co do konieczności zastosowania takiej a nie innej formy wypowiedzi artystycznej itp. itp. Byłoby to z początku swego rodzaju „nauka czytania wiersza współczesnego”, a w pewnej chwili czytelnik już sam wyniosłby satysfakcję estetyczną z lektury tekstu, który dotychczas miał prawo brać za „czarną magię”. Wydaje mi się, że tego rodzaju akcja ze społecznego punktu widzenia byłaby wskazana i wielce pożyteczna.

W tej krótkiej wypowiedzi trudno mi dokładnie omówić naszkicowane powyżej zagadnienie (niemniej problem został postawiony i - przy okazji - chętnie do niego powrócę). Tymczasem chciałbym wystąpić z następującą propozycją. Zamiast uyskiwać, że poezja współczesna jest niezrozumiała, zajmijmy się po prostu jej popularyzacją. A jak? - Oczywiście, druk samego tylko tekstu poetyckiego, nie wystarczy - obok niego powinno znaleźć się dokładne omówienie, w którym zawarłybyby wskazówki, co do odczytywania treści utworu, co do konieczności zastosowania takiej a nie innej formy wypowiedzi artystycznej itp. itp. Byłoby to z początku swego rodzaju „nauka czytania wiersza współczesnego”, a w pewnej chwili czytelnik już sam wyniosłby satysfakcję estetyczną z lektury tekstu, który dotychczas miał prawo brać za „czarną magię”. Wydaje mi się, że tego rodzaju akcja ze społecznego punktu widzenia byłaby wskazana i wielce pożyteczna.

W tej krótkiej wypowiedzi trudno mi dokładnie omówić naszkicowane powyżej zagadnienie (niemniej problem został postawiony i - przy okazji - chętnie do niego powrócę). Tymczasem chciałbym wystąpić z następującą propozycją. Zamiast uyskiwać, że poezja współczesna jest niezrozumiała, zajmijmy się po prostu jej popularyzacją. A jak? - Oczywiście, druk samego tylko tekstu poetyckiego, nie wystarczy - obok niego powinno znaleźć się dokładne omówienie, w którym zawarłybyby wskazówki, co do odczytywania treści utworu, co do konieczności zastosowania takiej a nie innej formy wypowiedzi artystycznej itp. itp. Byłoby to z początku swego rodzaju „nauka czytania wiersza współczesnego”, a w pewnej chwili czytelnik już sam wyniosłby satysfakcję estetyczną z lektury tekstu, który dotychczas miał prawo brać za „czarną magię”. Wydaje mi się, że tego rodzaju akcja ze społecznego punktu widzenia byłaby wskazana i wielce pożyteczna.

W tej krótkiej wypowiedzi trudno mi dokładnie omówić naszkicowane powyżej zagadnienie (niemniej problem został postawiony i - przy okazji - chętnie do niego powrócę). Tymczasem chciałbym wystąpić z następującą propozycją. Zamiast uyskiwać, że poezja współczesna jest niezrozumiała, zajmijmy się po prostu jej popularyzacją. A jak? - Oczywiście, druk samego tylko tekstu poetyckiego, nie wystarczy - obok niego powinno znaleźć się dokładne omówienie, w którym zawarłybyby wskazówki, co do odczytywania treści utworu, co do konieczności zastosowania takiej a nie innej formy wypowiedzi artystycznej itp. itp. Byłoby to z początku swego rodzaju „nauka czytania wiersza współczesnego”, a w pewnej chwili czytelnik już sam wyniosłby satysfakcję estetyczną z lektury tekstu, który dotychczas miał prawo brać za „czarną magię”. Wydaje mi się, że tego rodzaju akcja ze społecznego punktu widzenia byłaby wskazana i wielce pożyteczna.

W tej krótkiej wypowiedzi trudno mi dokładnie omówić naszkicowane powyżej zagadnienie (niemniej problem został postawiony i - przy okazji - chętnie do niego powrócę). Tymczasem chciałbym wystąpić z następującą propozycją. Zamiast uyskiwać, że poezja współczesna jest niezrozumiała, zajmijmy się po prostu jej popularyzacją. A jak? - Oczywiście, druk samego tylko tekstu poetyckiego, nie wystarczy - obok niego powinno znaleźć się dokładne omówienie, w którym zawarłybyby wskazówki, co do odczytywania treści utworu, co do konieczności zastosowania takiej a nie innej formy wypowiedzi artystycznej itp. itp. Byłoby to z początku swego rodzaju „nauka czytania wiersza współczesnego”, a w pewnej chwili czytelnik już sam wyniosłby satysfakcję estetyczną z lektury tekstu, który dotychczas miał prawo brać za „czarną magię”. Wydaje mi się, że tego rodzaju akcja ze społecznego punktu widzenia byłaby wskazana i wielce pożyteczna.

W tej krótkiej wypowiedzi trudno mi dokładnie omówić naszkicowane powyżej zagadnienie (niemniej problem został postawiony i - przy okazji - chętnie do niego powrócę). Tymczasem chciałbym wystąpić z następującą propozycją. Zamiast uyskiwać, że poezja współczesna jest niezrozumiała, zajmijmy się po prostu jej popularyzacją. A jak? - Oczywiście, druk samego tylko tekstu poetyckiego, nie wystarczy - obok niego powinno znaleźć się dokładne omówienie, w którym zawarłybyby wskazówki, co do odczytywania treści utworu, co do konieczności zastosowania takiej a nie innej formy wypowiedzi artystycznej itp. itp. Byłoby to z początku swego rodzaju „nauka czytania wiersza współczesnego”, a w pewnej chwili czytelnik już sam wyniosłby satysfakcję estetyczną z lektury tekstu, który dotychczas miał prawo brać za „czarną magię”. Wydaje mi się, że tego rodzaju akcja ze społecznego punktu widzenia byłaby wskazana i wielce pożyteczna.

W tej krótkiej wypowiedzi trudno mi dokładnie omówić naszkicowane powyżej zagadnienie (niemniej problem został postawiony i - przy okazji - chętnie do niego powrócę). Tymczasem chciałbym wystąpić z następującą propozycją. Zamiast uyskiwać, że poezja współczesna jest niezrozumiała, zajmijmy się po prostu jej popularyzacją. A jak? - Oczywiście, druk samego tylko tekstu poetyckiego, nie wystarczy - obok niego powinno znaleźć się dokładne omówienie, w którym zawarłybyby wskazówki, co do odczytywania treści utworu, co do konieczności zastosowania takiej a nie innej formy wypowiedzi artystycznej itp. itp. Byłoby to z początku swego rodzaju „nauka czytania wiersza współczesnego”, a w pewnej chwili czytelnik już sam wyniosłby satysfakcję estetyczną z lektury tekstu, który dotychczas miał prawo brać za „czarną magię”. Wydaje mi się, że tego rodzaju akcja ze społecznego punktu widzenia byłaby wskazana i wielce pożyteczna.

W tej krótkiej wypowiedzi trudno mi dokładnie omówić naszkicowane powyżej zagadnienie (niemniej problem został postawiony i - przy okazji - chętnie do niego powrócę). Tymczasem chciałbym wystąpić z następującą propozycją. Zamiast uyskiwać, że poezja współczesna jest niezrozumiała, zajmijmy się po prostu jej popularyzacją. A jak? - Oczywiście, druk samego tylko tekstu poetyckiego, nie wystarczy - obok niego powinno znaleźć się dokładne omówienie, w którym zawarłybyby wskazówki, co do odczytywania treści utworu, co do konieczności zastosowania takiej a nie innej formy wypowiedzi artystycznej itp. itp. Byłoby to z początku swego rodzaju „nauka czytania wiersza współczesnego”, a w pewnej chwili czytelnik już sam wyniosłby satysfakcję estetyczną z lektury tekstu, który dotychczas miał prawo brać za „czarną magię”. Wydaje mi się, że tego rodzaju akcja ze społecznego punktu widzenia byłaby wskazana i wielce pożyteczna.

W tej krótkiej wypowiedzi trudno mi dokładnie omówić naszkicowane powyżej zagadnienie (niemniej problem został postawiony i - przy okazji - chętnie do niego powrócę). Tymczasem chciałbym wystąpić z następującą propozycją. Zamiast uyskiwać, że poezja współczesna jest niezrozumiała, zajmijmy się po prostu jej popularyzacją. A jak? - Oczywiście, druk samego tylko tekstu poetyckiego, nie wystarczy - obok niego powinno znaleźć się dokładne omówienie, w którym zawarłybyby wskazówki, co do odczytywania treści utworu, co do konieczności zastosowania takiej a nie innej formy wypowiedzi artystycznej itp. itp. Byłoby to z początku swego rodzaju „nauka czytania wiersza współczesnego”, a w pewnej chwili czytelnik już sam wyniosłby satysfakcję estetyczną z lektury tekstu, który dotychczas miał prawo brać za „czarną magię”. Wydaje mi się, że tego rodzaju akcja ze społecznego punktu widzenia byłaby wskazana i wielce pożyteczna.

W tej krótkiej wypowiedzi trudno mi dokładnie omówić naszkicowane powyżej zagadnienie (niemniej problem został postawiony i - przy okazji - chętnie do niego powrócę). Tymczasem chciałbym wystąpić z następującą propozycją. Zamiast uyskiwać, że poezja współczesna jest niezrozumiała, zajmijmy się po prostu jej popularyzacją. A jak? - Oczywiście, druk samego tylko tekstu poetyckiego, nie wystarczy - obok niego powinno znaleźć się dokładne omówienie, w którym zawarłybyby wskazówki, co do odczytywania treści utworu, co do konieczności zastosowania takiej a nie innej formy wypowiedzi artystycznej itp. itp. Byłoby to z początku swego rodzaju „nauka czytania wiersza współczesnego”, a w pewnej chwili czytelnik już sam wyniosłby satysfakcję estetyczną z lektury tekstu, który dotychczas miał prawo brać za „czarną magię”. Wydaje mi się, że tego rodzaju akcja ze społecznego punktu widzenia byłaby wskazana i wielce pożyteczna.

W tej krótkiej wypowiedzi trudno mi dokładnie omówić naszkicowane powyżej zagadnienie (niemniej problem został postawiony i - przy okazji - chętnie do niego powrócę). Tymczasem chciałbym wystąpić z następującą propozycją. Zamiast uyskiwać, że poezja współczesna jest niezrozumiała, zajmijmy się po prostu jej popularyzacją. A jak? - Oczywiście, druk samego tylko tekstu poetyckiego, nie wystarczy - obok niego powinno znaleźć się dokładne omówienie, w którym zawarłybyby wskazówki, co do odczytywania treści utworu, co do konieczności zastosowania takiej a nie innej formy wypowiedzi artystycznej itp. itp. Byłoby to z początku swego rodzaju „nauka czytania wiersza współczesnego”, a w pewnej chwili czytelnik już sam wyniosłby satysfakcję estetyczną z lektury tekstu, który dotychczas miał prawo brać za „czarną magię”. Wydaje mi się, że tego rodzaju akcja ze społecznego punktu widzenia byłaby wskazana i wielce pożyteczna.

W tej krótkiej wypowiedzi trudno mi dokładnie omówić naszkicowane powyżej zagadnienie (niemniej problem został postawiony i - przy okazji - chętnie do niego powrócę). Tymczasem chciałbym wystąpić z następującą propozycją. Zamiast uyskiwać, że poezja współczesna jest niezrozumiała, zajmijmy się po prostu jej popularyzacją. A jak? - Oczywiście, druk samego tylko tekstu poetyckiego, nie wystarczy - obok niego powinno znaleźć się dokładne omówienie, w którym zawarłybyby wskazówki, co do odczytywania treści utworu, co do konieczności zastosowania takiej a nie innej formy wypowiedzi artystycznej itp. itp. Byłoby to z początku swego rodzaju „nauka czytania wiersza współczesnego”, a w pewnej chwili czytelnik już sam wyniosłby satysfakcję estetyczną z lektury tekstu, który dotychczas miał prawo brać za „czarną magię”. Wydaje mi się, że tego rodzaju akcja ze społecznego punktu widzenia byłaby wskazana i wielce pożyteczna.

W tej krótkiej wypowiedzi trudno mi dokładnie omówić naszkicowane powyżej zagadnienie (niemniej problem został postawiony i - przy okazji - chętnie do niego powrócę). Tymczasem chciałbym wystąpić z następującą propozycją. Zamiast uyskiwać, że poezja współczesna jest niezrozumiała, zajmijmy się po prostu jej popularyzacją. A jak? - Oczywiście, druk samego tylko tekstu poetyckiego, nie wystarczy - obok niego powinno znaleźć się dokładne omówienie, w którym zawarłybyby wskazówki, co do odczytywania treści utworu, co do konieczności zastosowania takiej a nie innej formy wypowiedzi artystycznej itp. itp. Byłoby to z początku swego rodzaju „nauka czytania wiersza współczesnego”, a w pewnej chwili czytelnik już sam wyniosłby satysfakcję estetyczną z lektury tekstu, który dotychczas miał prawo brać za „czarną magię”. Wydaje mi się, że tego rodzaju akcja ze społecznego punktu widzenia byłaby wskazana i wielce pożyteczna.

W tej krótkiej wypowiedzi trudno mi dokładnie omówić naszkicowane powyżej zagadnienie (niemniej problem został postawiony i - przy okazji - chętnie do niego powrócę). Tymczasem chciałbym wystąpić z następującą propozycją. Zamiast uyskiwać, że poezja współczesna jest niezrozumiała, zajmijmy się po prostu jej popularyzacją. A jak? - Oczywiście, druk samego tylko tekstu poetyckiego, nie wystarczy - obok niego powinno znaleźć się dokładne omówienie, w którym zawarłybyby wskazówki, co do odczytywania treści utworu, co do konieczności zastosowania takiej a nie innej formy wypowiedzi artystycznej itp. itp. Byłoby to z początku swego rodzaju „nauka czytania wiersza współczesnego”, a w pewnej chwili czytelnik już sam wyniosłby satysfakcję estetyczną z lektury tekstu, który dotychczas miał prawo brać za „czarną magię”. Wydaje mi się, że tego rodzaju akcja ze społecznego punktu widzenia byłaby wskazana i wielce pożyteczna.

W tej krótkiej wypowiedzi trudno mi dokładnie omówić naszkicowane powyżej zagadnienie (niemniej problem został postawiony i - przy okazji - chętnie do niego powrócę). Tymczasem chciałbym wystąpić z następującą propozycją. Zamiast uyskiwać, że poezja współczesna jest niezrozumiała, zajmijmy się po prostu jej popularyzacją. A jak? - Oczywiście, druk samego tylko tekstu poetyckiego, nie wystarczy - obok niego powinno znaleźć się dokładne omówienie, w którym zawarłybyby wskazówki, co do odczytywania treści utworu, co do konieczności zastosowania takiej a nie innej formy wypowiedzi artystycznej itp. itp. Byłoby to z początku swego rodzaju „nauka czytania wiersza współczesnego”, a w pewnej chwili czytelnik już sam wyniosłby satysfakcję estetyczną z lektury tekstu, który dotychczas miał prawo brać za „czarną magię”. Wydaje mi się, że tego rodzaju akcja ze społecznego punktu widzenia byłaby wskazana i wielce pożyteczna.

W tej krótkiej wypowiedzi trudno mi dokładnie omówić naszkicowane powyżej zagadnienie (niemniej problem został postawiony i - przy okazji - chętnie do niego powrócę). Tymczasem chciałbym wystąpić z następującą propozycją. Zamiast uyskiwać, że poezja współczesna jest niezrozumiała, zajmijmy się po prostu jej popularyzacją. A jak? - Oczywiście, druk samego tylko tekstu poetyckiego, nie wystarczy - obok niego powinno znaleźć się dokładne omówienie, w którym zawarłybyby wskazówki, co do odczytywania treści utworu, co do konieczności zastosowania takiej a nie innej formy wypowiedzi artystycznej itp. itp. Byłoby to z początku swego rodzaju „nauka czytania wiersza współczesnego”, a w pewnej chwili czytelnik już sam wyniosłby satysfakcję estetyczną z lektury tekstu, który dotychczas miał prawo brać za „czarną magię”. Wydaje mi się, że tego rodzaju akcja ze społecznego punktu widzenia byłaby wskazana i wielce pożyteczna.

W tej krótkiej wypowiedzi trudno mi dokładnie omówić naszkicowane powyżej zagadnienie (niemniej problem został postawiony i - przy okazji - chętnie do niego powrócę). Tymczasem chciałbym wystąpić z następującą propozycją. Zamiast uyskiwać, że poezja współczesna jest niezrozumiała, zajmijmy się po prostu jej popularyzacją. A jak? - Oczywiście, druk samego tylko tekstu poetyckiego, nie wystarczy - obok niego powinno znaleźć się dokładne omówienie, w którym zawarłybyby wskazówki, co do odczytywania treści utworu, co do konieczności zastosowania takiej a nie innej formy wypowiedzi artystycznej itp. itp. Byłoby to z początku swego rodzaju „nauka czytania wiersza współczesnego”, a w pewnej chwili czytelnik już sam wyniosłby satysfakcję estetyczną z lektury tekstu, który dotychczas miał prawo brać za „czarną magię”. Wydaje mi się, że tego rodzaju akcja ze społecznego punktu widzenia byłaby wskazana i wielce pożyteczna.

W tej krótkiej wypowiedzi trudno mi dokładnie omówić naszkicowane powyżej zagadnienie (niemniej problem został postawiony i - przy okazji - chętnie do niego powrócę). Tymczasem chciałbym wystąpić z następującą propozycją. Zamiast uyskiwać, że poezja współczesna jest niezrozumiała, zajmijmy się po prostu jej popularyzacją. A jak? - Oczywiście, druk samego tylko tekstu poetyckiego, nie wystarczy - obok niego powinno znaleźć się dokładne omówienie, w którym zawarłybyby wskazówki, co do odczytywania treści utworu, co do konieczności zastosowania takiej a nie innej formy wypowiedzi artystycznej itp. itp. Byłoby to z początku swego rodzaju „nauka czytania wiersza współczesnego”, a w pewnej chwili czytelnik już sam wyniosłby satysfakcję estetyczną z lektury tekstu, który dotychczas miał prawo brać za „czarną magię”. Wydaje mi się, że tego rodzaju akcja ze społecznego punktu widzenia byłaby wskazana i wielce pożyteczna.

W tej krótkiej wypowiedzi trudno mi dokładnie omówić naszkicowane powyżej zagadnienie (niemniej problem został postawiony i - przy okazji - chętnie do niego powrócę). Tymczasem chciałbym wystąpić z następującą propozycją. Zamiast uyskiwać, że poezja współczesna jest niezrozumiała, zajmijmy się po prostu jej popularyzacją. A jak? - Oczywiście, druk samego tylko tekstu poetyckiego, nie wystarczy - obok niego powinno znaleźć się dokładne omówienie, w którym zawarłybyby wskazówki, co do odczytywania treści utworu, co do konieczności zastosowania takiej a nie innej formy wypowiedzi artystycznej itp. itp. Byłoby to z początku swego rodzaju „nauka czytania wiersza współczesnego”, a w pewnej chwili czytelnik już sam wyniosłby satysfakcję estetyczną z lektury tekstu, który dotychczas miał prawo brać za „czarną magię”. Wydaje mi się, że tego rodzaju akcja ze społecznego punktu widzenia byłaby wskazana i wielce pożyteczna.

KRONIKA Antytelewizyjna

NIE DENERWOWAC TELEWIZJOW! Znowu w istotnych okolicznościach zawodzi fonia, zawodzi i wzrok. A na dobitkę zawodzi czasem pomysłunek. Zeby telewizorów do niczego nie przyzwyczajać, kolejno odcinek „Konia” nadano tym razem w niedzielę i rana. Bez uprzedzenia nadano widowski „Zbrodnia” Henryka Bielskiego. Okazało się, że to tylko pierwsza część, a drugą mamy czekać dwa tygodnie. „Kobra” to rozrywka, prawda że cokolwiek makabryczna, jej przedstawienie nie musi być długie i nudne w pamięci. A tu żąda się od tego tygodnia ujrzymy dalszy ciąg „Zbrodni”. Widowski zapowiadał się ciekawie, zaszło nam mniej typowy chwyt, od razu wiemy o mordercach perypetia na obserwowaniu przebiegu śledztwa. Ale kto może przewidzieć, iż będzie miał okazję do obejrzenia zakończenia czy też może jeszcze dalszego ciągu? Zostałem z osomką. Dziękuję, rezygnuję!

Ma TV nieliczne grono mówców i dyskusantów, których się cha się u upodobaniu, co zresztą nie zobowiązuje do przyznania im racji. Ostatnio po raz pierwszy słyszałem red. Do minika Horodyskiego, nie po raz pierwszy Antoniego Bohdziszki (którego minusem jest to, iż niechętnie współmówców dopuszcza do głosu), o przejawach chuliganstwa w związku z książką „M

ANNA ACHMATOWA



Zmarła Anna Achmatowa. Jedną z największych rosyjskich poetek — nie żyje. Zwiłki jej spoczęły na starym cmentarzu Komarowskim — miejscowości letniskowej pod Leningradem. Leży w ziemi w pobliżu niewielkiego drewnianego domku, w którym zamieszkiwała w ostatnich latach swego życia. Urodziła się w roku 1888. Pierwsze wiersze publikuje na łamach tygodników, mając lat dwadzieścia. W roku 1912 ukazuje się pierwsza książka jej wierszy — „Wieczór”.

Był to okres wielkich wydarzeń i zmian w życiu literackim Rosji. Szukano nowych form i nowego wyrazu poetyckiego. Chylił się ku upadkowi symbolizm rosyjski, tak odmienny w swej treści od symbolizmu zachodnioeuropejskiego. Powstał nowy kierunek literacki — akmeizm, zjawisko specyficzne, typowe rosyjskie. Kapitulował kubizm, zaczynała się wieloletnia agonja futurystów. Balmont i Siewierianin poszukiwali nowych form, niekiedy pełnych snobizmu.

Twórczość Achmatowej stanowiła jak by odpowiedź na próby degradacji sztuki poetyckiej przez dekadenistów. W latach dwudziestych, w czasie ponoszenia się „prolet-kultu”, „neokubizmu”, „czerwonego parameizmu” i ich licznych naśladowców, istniało zagrożenie poezji rosyjskiej tak zwanej „twórczością mechaniczną”, nie w istocie nie mającej wspólnego z poezją.

Achmatowa zawsze pozostawała wierna plek nym tradycjom wiersza rosyjskiego. Nie szukała form sztucznych. Może właśnie dlatego zawsze cieszyła się tak wielką popularnością. W latach rewolucji — pozostała w Rosji, mimo możliwości wyjazdu za granicę, gdzie w tych latach przebywali liczni pisarze i poeci rosyjscy.

Droga Achmatowej do rzeczywistości rosyjskiej była długa i trudna, a jej przeżycia osobiste — niekiedy tragiczne. W dni mojej młodości, nazywano Achmatową — „Mater Dolorosa” poezji rosyjskiej. Fakta na zawsze pozostała w pamięci mego pokolenia.

Gdy wiele lat temu, w okresie międzywojennym znany poeta rosyjski Balmont odwiedził Polskę, rozmowa dziennikarza z nim dotyczyła się na temat możliwości rozwojowych poszczególnych kierunków literackich i poetów rosyjskich. Balmont wówczas odpowiadał na moje pytanie: — „Achmatowa — to wielka karta naszej poezji rosyjskiej. Głos jej nigdy nie brzmiał fałszywie”.

PANTALEJMON JURJEW

Kto, co, kiedy?

relacje
medyskrecje

CZY JACK LONDON BYŁ PLAGIATOREM?

„Ucieszyłem się wiadomością, jaka otrzymałem, że chce Pan widzieć jeszcze kilka innych szkiców (short story plots). Zaczynam grubo pakować. Spodziewam się, że będzie Pan mógł wykorzystać z tego sporo części...” — pisał Sinclair Lewis.

Jack London, bo to on był adresatem tego listu, odpowiedział: „Pańskie plots otrzymałem wczoraj wieczorem. Zatrzymuję od razu dzie wicę (3). Jednocześnie przekazuję Panu odpowiednia sumę czekiem, 52,51 dolary...”

Ta niezwykła w treści, przynajmniej jak na stosunki europejskie, korespondencja między dwoma pisarzami odbywała się w 1910 roku. Lewis, mający wówczas 25 lat, był jeszcze pisarzem nieznanym, London, trzydziestoczteroletni, był już sławny.

Listy między obydwo ma wielkimi pisarzami, zostały obecnie po raz pierwszy opublikowane jako dodatek do wydawnych w Nowym Jorku listów Londona „Letters from Jack London”.

Upadał więc, wysuwany już przed laty zarzut, jakoby London popełnił plagiaty. Już w roku 1906 byłemu robotnikowi, trampowi, marynarzowi, podróżnikowi i poszukiwaczowi złota zarzucano, że jego „Przed Adamem” jest plagiatem książki „Story of Ab”, jaką napisał Stanley Waterloo. Ale London tłumaczył się, że „Przed Adamem” nie jest naśladowaniem powieści Waterloo'a, a przeciwnie, odpowiedział, bowiem autor „Story of Ab” pisał swą książkę bez należących podług naukowych.

W piętnaście lat po samobójstwie wielkiego pisarza czasopiśmiśmo „Liberty” dowodziło, że nie wszystkie powieści Londona wyszły spod jego pióra, że niektóre pisał jego „murzyńca” Sinclair Lewis.

Obecna publikacja korespondencji między obu pisarzami obala te wszystkie zarzuty.

Mark Schorer, amerykański historyk literatury, stwierdził kilka lat temu, że London zakupił łącznie 27 plots. Wykorzystał z nich jednak za ledwie pięć. Trzy stały się wątkiem krótkich opowiadań, dwa posłużyły jako temat dwóch powieści. Dla początkującego autora, jakim był w 1910 roku Sinclair Lewis transakcje z Londonem były ważne życiowo. Brał po

5 dolarów za szkic, ale pozwalało to przyszłemu laureatowi Nagrody Nobla poświęcić się wyłącznie pisaniu. Jack London — jak sam przyznawał — miał zawsze trudności w wymyśleniu fabuły, z łatwością ją jednak potem rozwijał i opracowywał. Lewis zaś bez trudu wymyślał własnie fabule.

„Blagam — pisał pewnego razu Jack London — niech Pan dobrze pamięta, które z Pańskich szkiców wykorzystałem, żeby pewnego dnia nie opróczował ich Pan sam”.

Sinclair Lewis odpowiedział: „Aby mieć absolutną pewność, niszczone moje notatki po napisaniu i prowadzę listę sprzedanych szkiców. I jeszcze zawsze potem sprawdzam”.

POECI RYSUJA

Pisaliśmy o ekspozycji rysunków poety Garcia Lorca, jaka niedawno miała miejsce w Nowym Jorku. Okazuje się, że wielu poetów uprawiało te dziedziny sztuki.

W marcu w paryskiej galerii „Le Bateau-Lavoir” pierwszy raz pokazano rysunki poetów francuskich, w tym: cztery rysunki Apollinaire'a, jeden Baudelaire'a, siedem Eluarda, portret André Bretona, narysowany przez Tristana Tzara, jeden rysunek Mallarmé'go. Jest to jeden z trzech, jakie poeta dołączył do listów pisanych do Mary Laurent, Mallarmé nazywał adresatkę swym „małym nawiem”.

Istotnie pokazany rysunek przedstawiał pawia. Dalej na wystawie można obejrzać jeden collage Aragona, jeden rysunek Valéry'ego i jeden Rimbauda, zatytułowany „Niedziela na wsi”, wykonany przez poetę, gdy miał lat szesnastka.

Rysunki pokazane na wystawie należały do prywatnych kolekcjonerów i nie są sprzedawane.

ARTHUR MILLER NIE NAPISZE KOMEDII

Niedawno jedna z gazet w Anglii ogłosiła wywiad ze znanym dramaturgiem amerykańskim Arthurem Millerem (ur. 1915, „Śmierć komiwojagera”, „Widok z mostu”, „Czarownice z Salem”).

Dramaturg oświadczył, że pogłoski o tym, jakoby pisał on obecnie komedie są nieprawdziwe. „Czyż można sobie wyobrazić mnie piszącego komedie?” — wykrzyknął. Tematem jego najnowszej sztuki — jak stwierdził Miller — be-

dział walka z rasizmem. Poruszając kwestie wojny wietnamskiej, dramaturg powiedział: „Przyglądam się zdjęciom w gazecie. Na jednym przedstawiony jest parzytant ze związanyimi rękami na plecach, z twarzą opuszczoną w dół. Wleczę go po ziemi południowowietnamski czolek. Sądze, że i ja jestem za to odpowiedzialny. Piace podatki, za które kupiony jest ów sznur, krepujący ręce tego człowieka”.

Miller powiedział następnie, że wiadomo wszystkim w jakiej niedzi, brudzie i ciasnocie musza żyć czarni obywatele USA w Harlemie i innych murzynskich gettach. On, Miller, jako pisarz czuje się i za to odpowiedzialny.

Te więc problemy, jak powiedział dramaturg, stanowią będą osnową nowej jego sztuki.

DWU I PÓLMINUTOWA SZTUKA BECKETTA

Na jednej ze scen paryskich wystawiana jest sztuka Becketta pt. „Va-et-vient”. Jest to króciutka scenka dramatyczna, która trwa dwie i pół minuty. Trzy kobie ty siedzą na ławce tak wazutkiej, że wgląda jak kurza grzeda, wymienia między sobą zwierzenia. Widowisko jest dokompletowane inną krótką sztuką Becketta oraz dwoma jednoaktowymi mi sztukami scenicznymi Ionesco i Roberta Pinget.

FESTIWAL W LYONIE POSWIĘCONY PAMIĘCI MOZARTA

Ogłoszono w Paryżu, że festiwal sztuki dramatycznej i operowej w Lyonie będzie w tym roku poświęcony pamięci Mozarta. Festiwal trwał będzie od 13 czerwca do 7 lipca. W tym czasie właśnie, dwadzieścia lat temu, Mozart przebywał w Lyonie.

TESTAMENT SOMERSET MAUGHAMA

Somerset Maugham pozostawił w testamencie swemu wioletoletemu sekretarzowi Alanowi Searle 50.000 funtów, całe wyposażenie willi na Cap Ferrat i wpływy z tytułu praw dożywotnio. Po śmierci sekretarza tantie my otrzymywać będzie „Royal Library Fund”, który z kwot tych ma udzielać pomocy starzejącym się pisarzom. Lady Glendevon, jedyna córka Maughama otrzymała willę na wybrzeżu Morza Śródziem-

SOBOTA

„Nasze Życie” to dwadzieścia lat dwutygodnika pracowników przemysłu lekkiego. Dwutygodnik poświęca dużo miejsca na swych łamach tematyce kulturalno-oświatowej. Redakcja organizuje również szereg konkursów popularyzujących czytelnictwo, gromadzących materiał do kumentalnej z życia robotników. W ostatnim wydaniu dwutygodnika zamieszczono konkurs na wspomnienie: „W moim zakładzie”. „Notatnik kulturalny” z radością i dużą przyjemnością na okazję złożyć gratulacje koleżance, młodej (dwudziestoletniej) jubilatce, która (redakcja), poruszając zagadnienia fachowe i bliskie półmilionowej reszcy związkowców wioletoletemu, odzieżowców i przemysłu skórzanego w całym kraju, nie zapomina o sprawach kulturalnych.

15 marca 1946 r. ukazał się pierwszy numer „Naszego Życia” w on czas jeszcze, miesięcznik. Dziś pismo rozchodzi się w nakładzie około 30 tysięcy egzemplarzy.

negó w Nicei i sumy pieniężne pozostawione przez zmarłego pisarza na koncie jednego z banków USA.

Pod schyłek życia wielkiego pisarza dochodziło do zatargów z córką o sprawy finansowe. Pisarz mając nieomal 90 lat, cofnął nagle akt darowizny pieniężnej, przez prowadzony na rzecz swej córki i pozostawił wielomilionowe kwoty swemu sekretarzowi, który towarzyszył Maughamowi w jego wielu podróżach, był dla niego towarzyszem, powiernikiem i pielęgniarzem.

SIEDEMDZIESIĄT KOTÓW I JEDEN CZŁOWIEK

W studio filmowym w Epinay pod Paryżem, reżyser Henri Glaeser nakręca film pt. „Człowiek z kotami”, w którym wystąpi aż 70 tych zwierząt. Nie koty jednak będą głównym tematem filmu, lecz człowiek — w jego roli wystąpi Armontel — którego samotność i opuszczenie przez ludzi rekompensuje liczna gromada kotów.

AKROPOLIS ZAGROŻONA

Aby ratować przed zniszczeniem budynku Akropolis w Atenach, angielski naukowiec H. J. Plenderleith powołał międzynarodową komisję, która ma zbadać w jakim stopniu starożytnym zabytkom grozi ruina.

SATYRA FILMOWA NA DOME MODY I REKLAMĘ TELEWIZYJNĄ

Amerykański fotograf William Klein nakręca w Paryżu swój pierwszy film według własnego scenariusza. Będzie to satyra na domy mody i reklamę telewizyjną. Film ma mieć tytuł: „Qui êtes-vous, Polly Magoo?” Główną rolę gra modelka Dorothy McGowan i aktor sceniczny Jean Rochefort.



NIEDZIELA

Zawsze pasjonowała mnie geometria. Jedną bodajże nauką, która działa na wyobraźnię, jest zdoła jakoś przybliżyć mi problemy perspektywy, wymiarów (te od czwartego wzywoł) oraz tzw. nieskończoność przestrzeni. Figury, bryły geometryczne, a w szczególności kula i kulka, stały się moją obsesją wyobraźniową w kwestiach przestrzeni a nawet czasu.

W związku z powyższym straciłem całą niedzielę na rozmyślanie o (nawet na mecz EKS — Gwardia nie poszedłem) modzie.

Wiadomo kobiecie, gdyż o męskiej szkoda mówić. Uporządkowałem nieco swój poglądy na te sprawy: figura geometryczna, do której winna dążyć kobieta, i która wyzwoli ją ostatecznie to nie trójkąt, kwadrat czy romb. Doszedłem do generalnego wniosku (nie lekceważąc własnego doświadczenia): kolistość, względnie kulistość najbardziej jest zgodna z naturą kobiety (i męska).

Naczelny redaktor pisma, Ryszard Kilmczak, w 373 numerze jubileuszowym, wstępny artykuł tak kończy: „Czy jesteśmy wierni ideom towarzyszącym powstawaniu pisma?” Opinie czytelniczo zamieszczono na małej kolumnie.

POLONICA

O TEATRACH STUDENCKICH W POLSCE PI-SZE MIESIĘCZNIK „ROWIESNIK”

Miesięcznik, poświęcony organizacjom młodzieżowym, „Rowiesnik” w swym 12 numerze przynosi artykuł znanego krytyka Andrzeja Drazdewicza, poświęcony powstawaniu, pracy i osiągnięciom studenckich teatrów w naszym kraju.

Z obszernego omówienia, przytaczamy kilka zdań, które są nie tylko suchą charakterystyką pracy scenicznego zespołu studenckiego: „Obecnie w Polsce nie ma ani jednego centrum studenckiego, gdzie 2-3 razy w tygodniu jakaś grupa entuzjastów nie organizowałaby rozrywek, odważnie pokazując swą pracę znajomym i nieznanym z widowni. Na wielkich i małych scenach, na różnych estradach, denerwują się i powtarzają w myślach słowa prozy czy wierszy, ubrani w codzienne ubrania lub umowne kolorowe kostiumy, stoją oni u wyjścia na scenę... Czekają momentu, kiedy mogą rzucić na sale swoje pierwsze słowo, by potem jeszcze i jeszcze raz przeżyć to najpiękniejsze, być może najdroższe w życiu — nieść widzowi prawdę”.

WSPOMNIENIA DYM-SZY NA ŁAMACH „SOWIECKIEGO EKRANU”

„Sowieckiej ekran” w swym 24 numerze przynosi bardzo ciekawy artykuł o naszym wielkim gwiazdorze lat miedzywojennych, a dziś już nestorze komedii — Adolfe Dymszym. Właściwie jest to opowieść jednego ze znanych spółki autorskiej pisarza Eugeniusza Pietrowa (Iłja Iłf umarł kilka lat temu), o ekranizacji powieści „12 krzesel” z Dymszą w roli głównej, oraz wywiad przeprowadzony z narazym znakomitym redaktorem przez redaktora „Sowieckiego ekranu”.

Popularny Dodek opowiada o swoim pierwszym spotkaniu z Pietrowem i Iłfem, o planach obsadzenia go w filmie radzieckim (chodzi o czasy przedwojenne) oraz o obecnych kontaktach naszego aktora z widzami ZSRR: Oto co mówi Dymsza: „Jaka szkoda, że obecnie, kiedy jestem gościem mieszkańców Moskwy, nierzadko poznajęcych mnie na ulicy, nie ma wśród nich drogiej moich przyjaciół Iłfa i Pietrowa... Napisałoby dla mnie dobry scenariusz komedii...”

LITERATURZE POLSKIEJ

Katalog monachijskiej firmy wydawniczej Langen-Müller, zawiera wstęp pióra właściciela wydawnictwa, Joachima Schonda, w którym znajduje się następujący pasus: „Calkiem nowy świat otworzyła przede mną współczesna literatura polska. Wydaje obecnie Jarosław Iwaszkiewicz, seniara literatury polskiej; wydaje Jerzego Andrzejewskiego, który stanowi zapewne największą siłę pisarską średniego pokolenia, a jako autora młodszej generacji przedstawiłem jesienią 1964 roku Józefa Hena z jego tomem opowiadań „Bokser i śmieć”. I jeszcze jeden Polak znalazł się u mnie: literaturoznawca Jan Kott, autor „Szekspira w współczesności”. Tak więc literatura polska znajduje sobie wszędzie coraz więcej uznania.”

POLONICA

Notatnik KULTURALNY

PONIEDZIAŁEK

Prace remontowe w Muzeum Sztuki w Łodzi trwają. Piszę o tym już po raz trzeci, bowiem remont jak wojna, wystarczy go rozpuścić, a gruz gęsto się ściele, a pył przysiania wszystko, że końca nie widać. W takich bojowych warunkach dyrekcja muzeum nie ustaje w pokojowej pracy oświatowej, równocześnie konsekwentnie planuje perspektywowy wzrost i fidalizację wzrostu światyni zadania.

Piszę o tym, traktując ewentualnie jako raporty z pola bitwy o przestrzeń, nowy system oświetlenia i wydział kultury w Piotrkowie Tryb., redakcja „Gazety Ziemi Piotrkowskiej”, Wydział Kultury Prez. WRN w Łodzi oraz WKZZ.

Konkurs jest stałą imprezą organizowaną tradycyjnie w Piotrkowie Tryb. — mieście bogatej historii oraz tradycji walki rewolucyjnej i partyzanckiej.

WTOREK

Klub Literacki przy Zarządzie Wojewódzkim ZMS w Łodzi ogłasza konkurs poetycki pn. „Rubinowa Hortensja”.

Organizatorami konkursu są: Związek Literatów Polskich Oddział w Łodzi, Wydział Kultury w Piotrkowie Tryb., redakcja „Gazety Ziemi Piotrkowskiej”, Wydział Kultury Prez. WRN w Łodzi oraz WKZZ.

Konkurs jest stałą imprezą organizowaną tradycyjnie w Piotrkowie Tryb. — mieście bogatej historii oraz tradycji walki rewolucyjnej i partyzanckiej.

ŚRODA

70 lat kina. Siedemdziesiąt lat; siedem bez mała pokoleń oglądało film i ani spostrzeżliśmy się, że doszedł on (film) do wieku dojrzałego w emeryturze. Niewielu z nas dziś pamięta to dziecie nieporadne, owoc skrzyżowania fotografiki z teatrem. Dziś prawie wszystkie muzy — służebnice filmu; technika i automatyka odmładzają nieco podwładze wdzięki bilata. Dwa dwudziestolecia to nasze doświadczenia kinematograficzne — upadki i wzloty, komedie i dramaty; przeszliśmy tę drogę i dziś bogatsi w nowe doświadczenia mamy po „Jasnym łanach” kilka jasných pozycji na firmamencie światowego filmu.

Łódzki Dom Kultury organizuje ostatnio ciekawe imprezy i odczyty. 17 marca br. prof. dr Jerzy Toeplitz wygłosił odczyt ilustrowany tematycznymi filmami: 70 lat kina: trzy epoki. Pomyśleć: „tylko” 3 (trzy) epoki, a także zmiany na świecie jak w kinie.

CZWARTEK

„Prawdziwa cnota krytyk się nie boi”. Dlatego też

Niewątpliwie impreza świąteczna o żywym ruchu artystycznym i literackim w tym pięknym mieście.

PIĄTEK

Nigdy nie zawadzi w domu ładny gobelin. Często oidek stateczny, nieufnym okiem patrzący na „kruchoch” twórczości sztalugowej, nie powinien mieć żadnych oporów jeżeli chodzi o tkaniny artystyczne. Tu wszystkie eksperymety malarskie znalazły się.

praktyczny i estetyczny skutek. „Postać” (gobelin 80 x 200 cm — kawał solidnej tkaniny) to nie jakiś tam tandetny kilimek; albo „Łowicki”, rodzinny, bliski i ciepły, a przy tym sztuka tkacka na pokaz. Radzę na najbliższe urodziny, imieniny lub srebrne wesele zebrać zaskórniaki do kupy i gobelinem z wystawy tkanin Bolesława Tomaszewicza uradować serce połowy swego serca.

niektórzy łódzcy malarze nie obawiają się wernisaży w innych miastach. Ostatnio Leszek Różga wy stawił swoje prace, obok Henryka Staszewskiego, w Warszawie; obecnie (16. III. 1966 wernisaż) w towarzystwie Tadeusza Brzozowskiego i Józefa Gielniaka w Galerii Współczesnej KMPiK w Operze Warszawskiej wystawia swoje prace Stanisław Fijałkowski.

Jest nadzieja, że również: prawdziwy krytyk cnoty się nie boi.

SOBOTA

„Nasze Życie” to dwadzieścia lat dwutygodnika pracowników przemysłu lekkiego. Dwutygodnik poświęca dużo miejsca na swych łamach tematyce kulturalno-oświatowej. Redakcja organizuje również szereg konkursów popularyzujących czytelnictwo, gromadzących materiał do kumentalnej z życia robotników. W ostatnim wydaniu dwutygodnika zamieszczono konkurs na wspomnienie: „W moim zakładzie”. „Notatnik kulturalny” z radością i dużą przyjemnością na okazję złożyć gratulacje koleżance, młodej (dwudziestoletniej) jubilatce, która (redakcja), poruszając zagadnienia fachowe i bliskie półmilionowej reszcy związkowców wioletoletemu, odzieżowców i przemysłu skórzanego w całym kraju, nie zapomina o sprawach kulturalnych.

15 marca 1946 r. ukazał się pierwszy numer „Naszego Życia” w on czas jeszcze, miesięcznik. Dziś pismo rozchodzi się w nakładzie około 30 tysięcy egzemplarzy.

Naczelny redaktor pisma, Ryszard Kilmczak, w 373 numerze jubileuszowym, wstępny artykuł tak kończy: „Czy jesteśmy wierni ideom towarzyszącym powstawaniu pisma?” Opinie czytelniczo zamieszczono na małej kolumnie.

J. Zaleski

ELEKTRONOWA MATA HARI

CIA — Centralna Agencja Wywiadowcza USA zatrudnia na etacie ok. 20 tysięcy ludzi, a sumy przez agencję wydatkowane idą w setki milionów dolarów rocznie. Oczywiście nie figurują one oficjalnie w budżecie państwowym; są utajone w innych pozycjach rozchodowych. Nie ujawnia się również ogromnych sum, wydatkowanych przez pozostałych dziewięć wojskowo-cywilnych organów informacyjno-wywiadowczych. Dyrektor CIA, Reyborn, dowolnie dysponuje budżetem biura i, w zasadzie, wylicza się z wydatkowania sum tylko przed prezydentem. Kongres nie ma de facto wglądu w działalność CIA, gdyż jedyną podkomisją, która rzekomo kontroluje jego pracę ma bardzo ograniczone pole działania. Zadania grupy liberalnych senatorów o rozciągnięciu parlamentarnej jurysdykcji nad CIA i ujawnienie jego działalności pozostają bez echa. Pod pozorem zabezpieczenia tajemnicy państwowej, Centralna Agencja Wywiadowcza wysyła swoje spody jakiegokolwiek kontroli.

Ten chroniczny stan rzeczy utwierdza w przekonaniu nie tylko amerykańskich polityków i pewne odłamy prasy USA, iż CIA, jak również inne, równoległe z nim działające organa wywiadowcze, są swego rodzaju „rządem-cieniem”, który działa poza ramami konstytucji, a przeto podrywa również jej podstawy. W związku z tym cytują nawet Allena Dullesa, który przy jakiejś okazji powiedział nieco więcej, niż zamierzał: „Ustawa o bezpieczeństwie państwa z roku 1947 stworzyła tajnym służbom Stanów Zjednoczonych tak wielkie możliwości wywierania wpływu na politykę międzynarodową, jakich nie ma żadna służba szpiegowska na całym świecie”. Przypominają także o licznych akcjach CIA, które poważnie skompromitowały rząd USA w oczach opinii światowej i omal nie spowodowały prawdziwej katastrofy w skali międzynarodowej. A więc: awanturka próba obalenia rządu Sukarno w roku 1958 przy pomocy grup uzbrojonych rebeliantów, niebezpieczna ekspedycja w Zatoce Świń, która, w pełnym tego słowa znaczeniu, związała ręce prezydentowi, pomijając już dramatyczne wydarzenia, które spowodowała, głośny skandal w związku z aresztowaniem agenta CIA w Singapurze i śmiechu warte próby za tuzowania tej całej afery.

Liczba osób, zatrudnionych w centralnym aparacie tego organu państwowego USA, jest okryta tajemnicą. Przypuszcza się jednak, iż wynosi ona ok. 8—10 tysięcy ludzi. Nie wszyscy weterani CIA są zadowoleni z nowego, komfortowego gmachu, do którego niedawno ich przeniesiono. „Największym mankamentem — powiedział jeden z nich — jest to, że tutaj chce się przekształcić stara siedziba na uczciwą kobietę. Tutejsze pomieszczenia składają do pisania zbyt wielu memorałów, do zbyt wielu narad. Teraz z konspiratorów, przemieniają się w uczonych”.

Rzecz w tym, że dziś, w roku 1966, Mata Hari i jej podobne nie mogłyby już odegrać żadnej roli. Teraz ogromna większość prac informacyjno-szpiegowskich wykonuje się przy biurkach. W pałacu CIA, pod Waszyngtonem, kosztom wielu milionów dolarów, zainstalowano wspaniale wyposażone laboratorium. Tam właśnie, cała armia specjalistów z dziedziny techniki opracowuje i konstruuje wszelkie urządzenia i sprzęt, które mogą się przydać agentom CIA w pracy szpiegowskiej. W drugim skrzydle tego ogromnego gmachu umieszczono gigantyczny mózg elektroniczny „Wolnatt”, skonstruowany specjalnie dla CIA przez znaną firmę „International Business Machines” (IBM). Mózg przechowuje 50 milionów kartotek, które zawierają wszelkie informacje, mające jakiegokolwiek znaczenie dla CIA. Jeśli któryś z pracowników pragnie przejrzeć ten lub inny dokument, „Wolnatt” do starca mu odpowiedni mikrofilm, w niespełna 5 sekund fotografuje go przy pomocy promieni ultrafioletowych i po upływie dalszych sekund rzuca na ekran.

CIA dzieli się na cztery wydziały, pracujące niezależnie od siebie, którymi kierują zastępcy dyrektora. „Wydział planowania”, którego szefem jest były dziennikarz Dick Holmes, odpowiada za całokształt tradycyjnej działalności szpiegowskiej agentów CIA. W zakres prac wydziału wchodzi również to, co w żargonie określa się „brudna robota”. Holmesowi podlegają wszyscy agenci, rozmieszczeni poza granicami USA. Spoczywa też na nim delikatny obowiązek „skracania” lub „przedłużania” — kiedy zajdzie potrzeba — życia rządów różnych krajów, które z tych

czy innych względów, szczególnie interesują Biały Dom. Amerykańska służba informacyjna w obym państwie kierują z reguły pracownicy poselstwa, których chroni dyplomatyczna nietykalność. Po nieważ miejscowa policja szybko rozgryza taki orzech, przeto zmuszeni są do działania za pośrednictwem złożonej sieci lokalnych pomocników i pośredników. Oni to zbierają bezpośrednio informacje i nie żałują dolarów, rozszerzają sieć „zewnetrznych” pomagierów. Taki mechanizm działania przysparza pseudodiplomatom wielu kłopotów, a przede wszystkim obaw przed zdemaskowaniem, co — obok komplikacji dyplomatycznych — powoduje zerwanie wszystkich nici siatki informacyjnej.

Holmes czerpie oczywiście informacje i z innych źródeł. Jego agenci często posługują się turystami, którzy wyjeżdżają się w podróż do jakiegokolwiek „interesującego” kraju. Bez szumu i zbędnych ceregieli proponują im wprost zebranie pewnych informacji, względnie uważają lustrację określonego rejonu danego kraju. Gdy prawdziwi turyści odmawiają swych usług, CIA wynajduje pseudoturystów, to jest wysyła za granicę swoich zaufanych ludzi w charakterze badaczy-archeologów lub agentów handlowych. Do tej kategorii należeli Marc Kamiński i Harvey Bennet, dwaj weterani lotnictwa, aresztowani na Ukrainie w roku 1960. Niezależnie od tego „wydział planowania” utrzymuje stały i żywy kontakt z amerykańskimi firmami handlowymi, które mają swoje przedstawicielstwa na terytoriach obcych państw. Rzecz polega na tym, iż pracownicy owych firm mogą się obracać w takich kręgach miejscowego społeczeństwa, w których można usłyszeć coś interesującego.

Jednakże Holmes ma w swym arsenale prawdziwych „artystów”, którzy nie przekroczyli progów pałacu pod Waszyngtonem. Na przykład taki Carsnell „elektryk”, który w roku 1960 zainstalował tajne mikrofony w ambasadzie chińskiej na Kubie, albo ludzie tego pokroju, co lotnik Phoupe, którego wzięli do niewoli Indonezyjczycy, w miejscowości Ambon, w momencie, gdy wykonywał tajną misję CIA wśród rebeliantów. Ci „nieetatowi” pracownicy wciąż jeszcze wykonują różne misje szpiegowskie w klasycznym stylu, albo z zamierzonym do awanturnictwa, albo z żądzy wzbogacenia się, natomiast bez żadnych widoków na emeryturę po zakończeniu kariery. Wszelako ich liczba nieustannie maleje, a ci spośród nich, którzy jeszcze tu i ówdzie „pracują”, oplakują złote czasy, kiedy to na stołcu Holmesa, człowieka nader ostrożnego i metodycznego, zasiadał „błyskotliwy” Russel „twórca” smutnej operacji w Zatoce Świń. W „wydziale interpretacji”,

którym kieruje Ray Clein, nie ma awanturników. Pracownicy Cleina — to ludzie wykształceni, zwerbowani do pracy w CIA jeszcze podczas studiów uniwersyteckich, albo też wykonujący wolne zawody. Do ich obowiązków należy oddzielanie ziarna od plew i wylawianie istotnego sensu z mnóstwa informacji, które napływają do wydziału. Za ledwie 1/5 część tych informacji dostarcza wydział Holmesa. Pozostała część pochodzi z zagranicznych gazet, periodyków i komunikatów, z monografi i instytucji naukowo-badawczych oraz z biuletynów amerykańskich organów informacyjnych. Wydział Cleina rozpoczyna pracę o godzinie 3 rano, a o godz. 8 jest już gotowe ściśle tajne sprawozdanie o ogólnej sytuacji w tych rejonach świata, w których aktualnie coś się dzieje. Sprawa wozdanie to otrzymuje prezydent Johnson, dyrektor CIA Reyborn, sekretarz obrony MacNamara, sekretarz stanu Rusk oraz specjalny doradca prezydenta Boundy. Natomiast inne organa władzy państwowej otrzymują sprawozdanie później i o nieco innym „profilu” informacyjnym.

W krytycznych momentach wkracza do akcji Scherman Kent, o którym mówi się, że jest głównym filarem CIA. Oceny Kenta wpływają czterokrotnie na zasadnicze decyzje prezydenta. Zarówno Clein, jak i Kent dysponują ogromną armią specjalistów. Na przykład jeden z podległych im oddziałów specjalnych wykonuje tak dalece tajne prace, że tylko można się domyślić — oglądając na filmach lotniczych jakieś namioty, chaoty itp. — o co tu chodzi. Inny oddział utrzymuje w idealnym porządku i na bieżąco, informacje lekarskie o stanie zdrowia wszystkich wybitnych polityków i mężów stanu na całym świecie, żeby w odpowiednim momencie móc urzędzić departamentu stanu o możliwych zmianach politycznych, spowodowanych ich chorobą.

Zdjęcia lotnicze wywołuje się i opracowuje w „wydziale naukowym”, którego szefem jest dr Albert Willon. Już w najbliższym czasie wydział ten stanie się jednym z czterech ważniejszych wydziałów CIA. To właśnie on, ponad dziesięć lat temu, wymyślił „U-2”. Teraz czuwa nad projektami „Samos”, „Midas” i „Spadets”, które wykorzystują lotnictwo USA do zbierania informacji szpiegowskich o charakterze wojskowym. „Samos” — to sztuczny satelita Ziemi o kształcie grubego cygara, długości, przypuszczalnie, 7 metrów i wadze paru ton. Uzbrojony w specjalne i supermocne obiektywy, nie tylko dokonuje zdjęć, przelatując nad obcym terytorium, lecz także wychwytuje, notuje i przekazuje na Ziemię wszystkie radiosygnały, które stamtąd pochodzą. Trudno po wiedzieć, ile takich „satelitów” krąży teraz wokół Zi-

mi. W kołach dobrze poinformowanych — jak zapewnia mediolańska „Epoca” — mówi się, iż każdego dnia, nad terytorium radzieckim, „Samos” przelatuje nie mniej niż 20 razy, a nad chińskim 5 do 6. Loty tych sztucznych satelitów są zsynchronizowane z pracą satelitów „Midas”, które reagują na ciepło, wywołane wystrzeleniem jakiegokolwiek pocisku oraz z pracą radarowych satelitów „Spadets”, które sygnalizują obecność w kosmosie każdego nowego obiektu, określają jego szybkość i kierunek lotu.

Tempo postępu technicznego jest tak błyskawicznie szybkie, że niektórzy liderzy CIA w wyobraźni widzą już dzień, kiedy to przy pomocy jakiegoś piekielnego instrumentu, nie opuszczając foteli, będą mogli podsłuchiwać rozmowy, odbywające się w gabinecie Mao Tse-tunga.

Czwarty i ostatni wydział — „administracyjny”, wykonuje prace ważne, lecz pozabawione elementów sensacji. Odpowiada za bezpieczeństwo całej maszyny CIA, łączność z działalnością CIA wewnątrz kraju, a przede wszystkim za kadry. Jak wiadomo, główne działania CIA jest skierowane na zaranicie, niemniej ma ono również swoje agendy w głównych miastach Stanów

Zjednoczonych. Numery telefonów (adresów nie ma) tych agend można znaleźć we wszystkich lokalnych książkach telefonicznych, na równi z numerami innych instytucji i urzędów.

Ludzie Reyborna mają swych „obserwatorów” we wszystkich uniwersytetach USA. Obserwują i zgłaszają do wydziału nazwiska potencjalnych kandydatów do pracy w wywiadzie. W ten sposób uzupełniają się wykwalfikowane i mniej wykwalfikowane kadry pracowników agencji. Obserwatorzy inwigilują też prywatne życie ewentualnych kandydatów oraz zbierają informacje, dotyczące ich poglądów politycznych. Powinni mieć nie tylko znakomite przygotowanie zawodowe, lecz również umieć wyżyć w wszelkich pokusach i przyjemności życia osobistego. Znaleźć takich ludzi nie jest łatwo, a znalezienie nagli. Ludzie w CIA spalają się bardzo szybko. Stałe napięcie nerwowe, ciągła izolacja, odpowiedzialność — powołała liczne i ciężkie choroby. I choć nie ujawnia tego żadna statystyka, wiadomo iż procent samobójstw wśród pracowników CIA jest bardzo wysoki.

Opracował: W. St.



Lewym
okiem

OSWIADCZAM, ŻE BĘDZIE MI SIĘ PODOBAĆ...

Znany krytyk filmowy, Lech Piłanowski, opowiada w korespondencji z Oberhausen, zamieszczonej w „Kulturze”, o krótkometrażowym filmie Manfreda Adlfa pt. „Bankierzy w świątyni”. Film poświęcony jest nazbyt świeckim celom kościoła, jego przez całe wieki na wskroś doczesnej polityce nie wolnej od bardzo wymiernych zainteresowań dobru tego świata, mógł narazić autora na zarzut walki z religią i tak dalej. Dla odparowania z góry takich zarzutów, autor wpadł na niezwykle pomysł. Oto pokazuje się film tylko wąskiemu kręgowi zaproszonych widzów, a przed wejściem na salę projekcyjną każdy zaproszony oświadcza pisemnie, że nie będzie się gorszył niczym, co na ekranie zobaczy, oraz że przyjmuje do wiadomości, iż autor filmu niczego złego nie miał na myśli. Oświadczenie potwierdza się własnoręcznym podpisem. Rejentalne poświadczenie podpisu nie jest wymagane.

Pomysł jest świetny, tym świetniejszy, że można doszukać się w nim wielu różnych znaczeń, zupełnie jak w dziele sztuki. Spróbujmy wytuskać kilka z nich, nie pretendując do wyczerpania kwestii.

1. Publicyści zachodnioeuropejscy nie chcą zadržać z opinią środowisk klerykałnych, ultramontańskich; uważając taką zabawę za niebezpieczną — szukają środków, które by zlagodziły ewentualne ciosy.

2. Ludzie w zachodniej Europie wierzą, że jak ktoś stwierdza, iż nie miał nic złego na myśli, to wszyscy momentalnie od niego się odczepiają i nikt żadnej pretensji o myślenie nie ma prawa zgłosić; gdybyż tak było istotnie! Felietonista na przykład nawymyślałby jakiegokolwiek instytucji ile wlezie, a potem oświadczyłby niewinnie, że nic złego nie chciał powiedzieć, tylko tak jakoś wyszło. Jeszcze by zażądał, jak w zachodniej Europie, żeby pisemnie potwierdzić przyjęcie powyższej informacji do wiadomości. Podpisz pan, że nic złego nie miałem na myśli...

W ten sposób stwarza się tak zwany dokument. Zwracamy niniejszym uwagę naszym biurokratom, że na ten wynalazek jeszcze nie wpadli. „Stwierdzam, że przyjmuję do wiadomości, iż przez kupię chciałem jak najlepiej, tylko nie mógł”. „Oświadczam, że przyjmuję do wiadomości oświadczenie, że pan Gwóźdź jest sympatycznym człowiekiem, bez względu na wszystko, co oświadcza inni...”

3. Ludzie w zachodniej Europie wierzą, że można się zobowiązać z góry, na niewidzialnego, na pniu, do odczuwania różnych stanów ducha i do takiego, a nie innego, reagowania na bodźce nawet przarozumowej natury. „Oświadczam, że wszystko mi się będzie podobać”. „Oświadczam, że zachwyca się panną Lułą, choćby miała dwie lewe nogi i krzywy nos”. „Oświadczam, że niczym się nie zgorzę, żeby tam nie wiem co”.

4. A może wniosek inny: ludzie na zachodzie Europy są już na takim etapie samokontroli i świadomości, że można od nich wymagać apriorycznego nastawiania się na właściwe stany emocjonalne?

5. Ludzie na zachodzie Europy wierzą w potęgę własnoręcznego podpisu. Jak ktoś podpisał, że się nie zgorszy, to znaczy że się nie zgorszy. Jeśli podpisał, że wierzy w brak złych myśli u autora filmu, to nigdy żadna wątpliwość przez głowę mu nie przemknie. U nas można by podpisać sto razy, a i tak przysłabiby kontrolę. Dopiero jak się spotkają cztery podpisane papierki i wszystkie twierdzą to samo — sprawa uważa się za niezbitą. Byc może — ten brak zaufania do podpisu wynika z realnej oceny sytuacji przez organa kontrolne: przeciętny dyrektor czy naczelnik podpisuje co dzień tyle papierków, że zabrakłoby mu czasu na odychanie, gdyby chciał wszystkie te papierki przed podpisaniem przeczytać.

Jest jeszcze jedna możliwość interpretacji pomysłu odważnego niemieckiego reżysera. Można przecież założyć, że oprócz odwabki, człowiek ten odznacza się dużym dowcipem. Nie poznali się na tym jednak niektórzy z zaproszonych gości, żądając z wielkim szumem wpuszczenia na salę bez podpisanych oświadczeń.

Kiedys słynny warszawski facecjonista, Franc Fiszler, zapewniał słowem honoru, że Bóg nie istnieje. Dział zamiast słowa honoru kładzie się podpis. Jeśli chcemy, żeby go zawsze i wszędzie brano poważnie — nie żądamy co krok podpisów, zwłaszcza pod różnymi oświadczeniami.

CWIEK